LUDWIKA ALCOTT

# DOBRE ŻONY

# DOBRE ŻONY.

DRUKARNIA LOTNICZA — POZNAŃ, STARY RYNEK 95/96

LUDWIKA ALCOTT

# DOBRE ŻONY

POWIEŚĆ

DLA DORASTAJĄCYCH PANIENEK

TŁUMACZYŁA

HANNA NITECKA

WYDAWCA JÓZEF NITECKI — POZNAŃ

1929

393562

UNIWERSYTET PRZYRODNICZO-HUMANISTYCZNY W SIEDLCACH
BIBLIOTEKA GŁÓWNA

## ROZDZIAŁ I.

Czerwcowe róże okalające domek państwa Marchów obudziły się wcześnie tego ranka i wyciągając ku słońcu swe czerwone twarzyczki, zarumienione ze wzruszenia, — szeptem zwierzały się sobie z tego, co widziały poprzez odsłonięte okna jadalni.

Jedne napawały się widokiem skromnie zastawionego stołu, inne z uśmiechem wiosennym spoglądały na dziewczęta, ubierające pannę młodą, inne jeszcze pochylając się w takt wiatru witały przychodzących gości.

Wszystkie kwiaty od najwspanialej rozwiniętej róży do skromnej niezabudki starały się wziąść udział w uroczystości, chcąc okazać wdzięczność swą młodej oblubienicy za jej troskliwą nad niemi opiekę.

Małgosia wyglądała sama jak różyczka, zaróżowiona, z błyszczącemi oczyma, z uśmiechem pełnym słodyczy spoglądała na otaczających — szczęśliwa że za chwil parę, jej ukochany ojczulek połączy ją węzłem dozgonnym z najdroższym Jasiem.

Małgosia nie nosi jedwabnej sukni, nie wpięła we włosy pomarańczowego kwiatu.

— Nie chcę wyglądać dzisiaj inaczej niż zwykle, nie chcę modnego wesela, pragnę widzieć tylko wokoło siebie tych, których kocham.

Białą, muślinową sukienkę uszyła sama, wszywając w nią wszystkie nadzieje i sny swego niewinnego, dziewczęcego serca. Siostry uczesały ją, a jako całą ozdobę przypięły jej we włosy kilka lilji.

— Wyglądasz tak słodko, kochana Małgosiu, że chętnie wyściskałabym Cię, gdybym nie bała się zgnieść Twej sukienki — krzyknęła Amelka, spoglądając na siostrę z zachwytem.

— Chodźcie, chodźcie do mnie kochane, sukni nic się nie stanie — i Małgosia otworzyła szeroko ramiona, a trzy dziewczynki rzuciły się ku niej, tuląc się i całując ją z rozczuleniem. Zrozumiały one, że nowa miłość Małgosi, nie wyruguje z jej serca starej, siostrzanej miłości.

— Teraz, muszę iść zawiązać krawat Jasiowi, a potem porozmawiać kilka chwil z ojcem — i Małgosia zbiegła na dół, poczem nie opuszczała matki, wyczuwając w uśmiechach jej drogiej twarzy, kryjące się cienie smutku, na myśl o wyfrunięciu pierwszego pisklęcia z gniazdka rodzinnego.

W tym czasie gdy trzy najmłodsze dziewczęta wykańczały swe skromne tualety, możemy opowiedzieć o małych zmianach, które zaszły w rodzinie Marchów w ciągu ostatnich trzech lat.

Ludka wyładniała bardzo i wyszlachetniała. Jej krótkie włosy zmieniły się w gruby warkocz,

który więcej się nadawał do jej małej główki i wysokiego wzrostu. Policzki nabrały rumieńców, spojrzenie oczu stało się łagodniejsze, a jej ostry zwykle i złośliwy języczek nie pracował dzisiaj wcale.

Elżbietka wyrosła bardzo. Wysmukła jak młoda topolka, w pięknych jej oczach dużo jest smutku, widać, że biedactwo cierpi często, a jednak na twarzy jej kwitnie stale łagodny uśmiech. Elżbietka nie skarży się nigdy i zawsze pełna nadziei, że wkrótce będzie już zupełnie zdrowa.

Amelka to Benjaminek. Nie ma jeszcze 16 lat skończonych, a jest już rozwiniętą kobietką. Nie można jej nazwać ładną, rysy nieregularne, nosek zadarty, a jednak ma ona niewysłowiony wdzięk. Wdzięcznemi są jej linje ciała, wdzięcznie porusza się wokoło, wdzięk kryje się w fałdach jej skromnej sukienki, w uczesaniu włosów, wszystko tworzy harmonijną całość.

Dziewczęta włożyły szare, fularowe sukienki, przystroiły je czerwonemi różami — wyglądają świeżutko i ładnie.

Zgodnie z życzeniem państwa młodych nie miało być żadnych specjalnych ceremonji, wszystko miało się odbyć w kółeczku rodzinnem, to też ciotka March oburzyła się zaraz po przybyciu, widząc pannę młodą, zbiegającą na jej spotkanie, pana młodego, poprawiającego girlandę na werandzie i pastora, najspokojniej niosącego na górę dwie butelki wina.

— Ależ moja droga, cóż to za porządki — oburzyła się stara panna, siadając na przygotowanem dla niej honorowem miejscu. — Dziecko kochane, powinnaś się nam ukazać dopiero w ostatniej chwili.

— Nie jestem na pokaz, droga ciociu i nikt nie przychodzi, by podziwiać mnie, lub krytykować mą sukienkę, lub też obliczać koszty śniadania. Jestem zbyt szczęśliwa, by myśleć o tem, co też będą o mnie mówili. Nie gniewaj się droga ciociu, ale ślub nasz musi się odbyć tak, jakeśmy sobie z Jankiem wymarzyli. — Kochany, tu jest twój młotek —i Małgosia podskoczyła, aby pomóc narzeczonemu w najwyższem stopniu prozaicznem zajęciu, jak przybijania wieszadła w przedpokoju.

Pan Brooke nie powiedział nawet „dziękuję‘, tylko po przybiciu ostatniego gwoździa pocałował narzeczoną, obdarzając ją spojrzeniem, które z twardych oczu ciotki March wycisnęło łzę rozczulenia.

Nagły krzyk i śmiech! — Na Jowisza, Ludka wywróciła znowu tort.

Oznajmienie to Teodorka wywołało chwilowe zamieszenie, na szczęście przybyła gromada kuzynów,nastąpiły przywitania, pocałunki, poczem całe towarzystwo udało się na werandę.

— Nie pozwól temu olbrzymowi podchodzić do mnie, denerwuje mnie jeszcze bardziej niż komary — mówiąc to ciotka March spoglądała groźnie

na Teodorka, którego czarna czupryna królowała ponad wszystkiemi.

— Obiecał być grzeczny, a jeśli chce, umie być eleganckim młodzieńcem — odparła Amelka.

Szepnęła ona parę słów na uboczu Teodorkowi, który nie zbliżał się do ciotki, lecz przez cały czas uroczystości rzucał na nią tak smutne, melancholijne spojrzenie, że wyprowadziło ją to z równowagi do reszty.

Nagła cisza. Pan March i młoda para zajęli miejsca pod baldachimem. Matka i siostry otoczyły ich kołem. Głos ojca przerywał się ze wzruszenia, co podnosiło jeszcze uroczystość chwili. Ręka narzeczonego drżała widocznie, ale Małgosia patrzyła prosto w oczy mężowi, mówiąc sakramentalne „Tak“ z taką czułością i wiarą, że serce matki mocniej zabiło, a ciotka March głośno westchnęła. Ludka nia płakała. Powstrzymywał ją od tego Teodorek, który bez przerwy patrzał na nią z komiczną mieszaniną radości i wzruszenia, w jego czarnych, błyszczących oczach.

Emilka oparła swą głowę na ramieniu matki, a Amelka stała jak wdzięczny posąg, opasany promieniami słońca.

— Pierwszy całus dla mateczki, — krzyknęła radośnie Małgosia, gdy ceremonja ślubu została skończona. Poczem wszyscy począwszy od pana Lawrence, a skończywszy na starej Hannie, korzystali z przywileju chwili, całując młodą mężateczkę,

która szczęśliwa, roześmiana, zaróżowiona, wyglądała prześlicznie.

— Żyj sto lat pieszczotko. — szeptała stara Hanna, tuląc swą wychowankę.

Po otrząśnięciu się ze wzruszenia zapanował gwar, młodzież dowcipkowała, żartowała, przekomarzano się wesoło. Podarunki ślubne przeniesione były do nowego domku. Wszyscy zasiedli do śniadania.

Pan Lawrence i ciotka March z uśmiechem wzruszali ramionami na widok wody sodowej i paru różnych limonjad, które to napoje rozlewały biesiadnikom trzy młode boginie. Wszyscy jedli z apetytem, tylko Teodorek, któremu na usilne prośby pozwolono podawać do stołu, rozglądał się niespokojnie wokoło, zajrzał nawet do kredensu, aż wreszcie zbliżył się do Małgosi i szeptem zapytał:

— Powiedz, czy Ludka, przypadkiem, nie rozbiła paru butelek, bo wszak powinny być...

— Nie, nie przerwała mu Małgosia, twój dziadek przysłał nam swe najlepsze wino i ciotka kilka butelek szampana, ale mamusia odstawiła trochę dla Elżbietki, a resztę odesłaliśmy do Domu Żołnierza. Wiesz przecież, że ojczulek uznaje wino tylko dla chorych, a mamusia nie zgodziłaby się nigdy, aby jej córki częstowały młodych ludzi wódką lub winem. — Małgosia mówiła to wszystko spokojnie, lecz była pewna, że Teodorek wybuchnie śmiechem

lub odpowie złośliwym żartem. Ten w odpowiedzi pocałował ją w rękę i odparł spokojnie:

— To mi się bardzo podoba, chciałbym żeby wszystkie dziewczęta zapatrywały się na tę sprawę tak jak wy.

Po śniadaniu towarzystwo rozproszyło się grupkami po domu i ogrodzie. Małgosia i Jan stanęli pośrodku trawnika, gdy nagle zabrzmiał rozkaz:

— Słuchajcie cni panowie i panie, mężowie i żony tworzą koło i tańczą wokół młodego małżeństwa a my panny i kawalerowie parami wesoło naprzód — i Teodorek złapawszy starą Hannę galopem puścił się po ogrodzieł. Propozycja ta przyjęta została entuzjastycznie, hałasu i śmiechu było co niemiara.

Mały biały domek spowity bluszczem stał opodal. Zamiast szumnych, poślubnych podróży miał być tylko mały spacer ze starego rodzinnego domu do nowego. Wzruszenie znów ogarnęło wszystkich. Zdawć mogłoby się, że Małgosia opuszcza dom rodzinny, by udać się w podróż naokoło świata.

— Nie myśl matuchno kochana, że będę zdala od ciebie, lub że cię kochać mniej będę, kochając tak bardzo Jasia — szeptała Małgosia, tuląc się serdecznie do matki. — Będę przychodziła codziennie do was i mam nadzieję, że zachowam swe dawne miejsce w waszych sercach, mimo że wyszłam zamąż. Amelka będzie stale ze mną, a wy wszyscy

musicie codziennie przychodzić, aby się pośmiać ze mnie, w roli gospodyni. Dzięki wam wszystkim za ten szczęśliwy dzień.

— Dowidzenia, dowidzenia.

Stali, patrząc na nią, pełni miłości i nadzieji i czułej dumy, gdy oddalała się, oparta na ramieniu męża, niosąc bukiety kwiatów; oddalała się oświetlona popołudniowemi refleksami czerwonego słońca — i tak zaczęło się nowe życie Małgosi.

---

## ROZDZIAŁ II.

Jest rzeczą bardzo trudną, szczególniej dla ambitnych, młodych ludzi ocenić sprawiedliwie swe zdolności: genjusz czy talent. Rozstrzygnięcie tego zawiłego pytania było troską nielada dla Amelki.

Zdolna, entuzjastka brała się do wszelkich prac artystycznych z młodzieńczą odwagą. Jednocześnie uczyła się i pracowała we wszystkich kierunkach, gdyż postanowiła nawet, gdyby genjusz zawiódł ją, zostać niewiastą, wielce zajmującą i inteligentną.

I to udawało się jej znakomicie, gdyż była ona jedną z tych, które podobają się bez starań o to. „Urodzona pod szczęśliwą gwiazdą“ mawiały o niej koleżanki. Wszyscy lubili Amelkę, gdyż jedną z jej głównych zalet był takt. Instynktownie wyczuwała, co komu jest miłe i zawsze umiała dostosować rozmowę do danej osoby, czasu i miejsca. Jedną z jej słabych stron było marzenie obracania się w tak zwanem „dobrem towarzystwie“, nie bardzo wiedząc, które to towarzystwo jest dobre. Pieniądze, stanowisko, tualety, eleganckie manjery podobały się jej nadewszystko i starała się przebywać z tymi, którzy je posiadali . „Milady“ nazywali ją żarto-

bliwie przyjaciele i naprawdę wiele dałaby za to aby być prawdziwą lady. Niestety, dopiero życie nauczyć ją miało, że jednak pieniądze nie zastąpią dobrego wychowania, a braki zewnętrzne nie dowodzą braku prawdziwego wykształcenia.

— Chciałabym cię prosić mamo o dużą grzeczność.

— Proszę cię bardzo dziecinko, cóż to takiego? — zapytała matka, w której oczach dorosła Amelka, zawsze była małem dziewczęciem.

— Nasza klasa rysunków kończy zajęcia w przyszłym tygodniu i zanim dziewczynki rozjadą się na letnie wywczasy, chciałabym zaprosić je do nas. Wszystkie pragną zobaczyć rzeczkę, naszkicować widok z mostu i skopjować niektóre moje rysunki. To takie miłe dziewczynki, bardzo bogate, wiedzą one, że ja jestem biedna, a jednak nie dają mi tego odczuć i przyjaźnią się ze mną.

— Cóżbyś więc chciała uczynić?

— Zaprosić je wszystkie do nas na śniadanie, zawieść do tych miejsc, które chcą zwiedzić i urządzić tam artystyczną zabawę.

— To jest wykonalne. A na śniadanie: dobre przekąski, ciasto, owoce i kawę wszak prawda?

— Ależ nigdy w życiu mamo! Musimy mieć zimne mięsa, kurczęta, sałatę, leguminę i lody. To są wszystko panienki z bardzo dobrego domu, wybredne i śniadanie u mnie musi być tak samo wytworne, jak i u nich.

— Ileż to panienek ma przyjechać — zapytała zaniepokojona już matka.

— W klasie nas jest dwanaście czy czternaście, ale myślę, że niewszystkie przyjadą.

— Ależ Amelko, będziesz musiała chyba wynająć autobus ciężarowy, aby je tu sprowadzić.

— Wcale nie, mamo, przyjedzie ich z pewnością sześć czy siedem, więc wynajmę duży powozik.

— To będzie wszystko strasznie kosztowne, moja droga!

— Strasznie! nie, obliczyłam już wszystkie koszta i wiem że pokryć je będę mogła z własnych oszczędności.

— Czy nie sądzisz, moje dziecko, że dziewczynkom przyzwyczajonym do tak wykwintnego jedzenia, mimo wszelkich twych starań, nie będzie smakowało twoje eleganckie śniadanie, a właśnie pewna zmiana, coś prostszego, a smacznego będzie dla nich czemś nowem, a dla nas milsze to, niż kupowanie i wynajmowywanie rzeczy zbędnych i niezastosowanych do naszego trybu życia.

— Jeśli nie mogę mieć tego co chcę, to lepiej nic nie urządzać. Wiem, że mogłabym wszystko to ślicznie zrobić, gdybyś ty mamo i siostrzyczki pomogły mi trochę. A przecież nie narażę was na żadne koszta, bo chcę sama zapłacić, więc pozwól mi mateczko — w głosie Amelki czuć, było z trudem powstrzymywane, łzy.

— Więc dobrze — pani March wiedziała, że doświadczenie będzie najlepszą lekcją życia — jeśli

uważasz, że bez wielkich wydatków i straty czasu podołasz temu, pomów z dziewczętami, ja ze swej strony, postaram ci się pomoc okazać.

— Kochana, droga mateczko zawsze jesteś taka dobra dla mnie. I Amelka pobiegła omówić dalsze plany z siostrami.

Małgosia zgodziła się odrazu i obiecała swą pomoc, ofiarowując wszystko, począwszy od domku, a skończywszy na łyżeczkach do soli, ale z Ludką było gorzej, z początku nie chciała o niczem nawet słyszeć.

— W jakim to celu masz wydać swoje pieniądze, wymęczyć wszystkich i wywrócić dom do góry nogami i to dla kilku dziewczyn, z pewnością, mało ciekawych — zaczęła Ludka, które oderwana od najtragiczniejszego momentu jej powieści, nie była usposobiona do tego rodzaju planów.

— Mylisz się moja droga, odparła urażona Amelka. — Wszystkie te dziewczęta są właśnie bardzo ciekawe, posiadają wiele rozsądku, taktu i nawet talentu, chociaż ty, nazywasz to modnem głupstwem. Tak, ty nie dbasz o dostanie się do dobrego towarzystwa, o zdobycie dobrych manier i o „kultywowanie“ wykwintnego smaku, a ja dbam o to wszystko. Ty chesz iść przez życie, torując sobie drogę łokciami i to nazywasz wolnością, a mnie się to nie podoba.

Określenie Amelki „kultywowanie“ rozśmieszyło tak Ludkę, że obydwie parsknęły śmiechem, poczem rozmowa przybrała charakter więcej przyja-

cielski. W końcu Ludka zdecydowała się poświęcić dzień, aby pomóc siostrze w urządzeniu „bezsensowego przyjęcia“ jak to pozwoliła sobie nazwać.

Zaproszenia zostały wysłane, prawie wszystkie przyjęte.

Nadchodzący poniedziałek miał być dniem wybranym. Gdyby dziewczynki nie mogły w poniedziałek przybyć, przyjechałyby we wtorek.

Ten sposób umówienia się zdenerwował Ludkę i starą Hannę do ostatnich granic. W poniedziałek rano pogoda niepewna, jedna z tych, które doprowadzają do większej rozpaczy, niż długotrwała ulewa. Trochę padało, to znów ukazywało się blade słońce, grzmoty, znów deszcz. Amelka wstała o świcie, wyciągając wszystkich z łóżek, jako że do śniadania wszystko miało już być sprzątnięte. Salon wydał się jej brzydki i biedny. Zaczęła więc zakrywać podarte tapety obrazkami, dziury w dywanie znikły pod artystycznie rozrzuconemi poduszkami. Naznosiła mnóstwo figurek, wazonów, wazoników, które Ludka napełniła kwiatami. Stół wyglądał imponująco: wypożyczone szkło, porcelana i srebro, przy każdem nakryciu bukieciki kwiatow. Matka i Małgosia miały robić honory domu, nieśmiała Elżbietka ofiarowała swą pomoc Hannie, a Ludka przyrzekła być wesołą i uprzejmą dla wszystkich; do jej obowiązków należało prowadzić konwersację przy stole.

Amelka nie posiadała się z radości, w swej bujnej wyobraźni widziała się już w powozie, po

dobrem śniadaniu, otoczona koleżankami. Tymczasem zaczęło się dwugodzienne, bezczynne oczekiwanie. Amelka usadowiła się przy drzwiach wejściowych i za lada szelestem biegła by je na rozcież otwierać, opinja domowników, co do ewentualnego przyjazdu gości, zmienną była jak chorągiewka na dachu, co najwięcej denerwowało biedną gospodynię.

O godzinie dwunastej powozik przyjechał ze stacji, ale bez gości, o drugiej po południu cała rodzina zasiadła do śniadania, zjadając te potrawy, którym groziło zepsucie się do dnia następnego.

— Dzisiaj pogoda jest zupełnie pewna, panienki przyjadą z pewnością, wstawajcie — wołała Amelka, gdy pierwsze promienie słońca obudziły ją następnego ranka.

Tak, na dnie duszy, rodził się pewien żal, że wspominała koleżankom i o wtorku, gdyż entuzjazm jej gasł i to dość prędko, a humor jej psuć się zaczynał i to szybciej, niż wczoraj przygotowany tort.

— Nie mogłem dostać homarów, trzeba się będzie obejść dzisiaj bez sałatki — rzekł pan March wchodząc pół godziny później do jadalnego pokoju. a na dobrej i wesołej jego twarzy, malowało się zakłopotanie.

— Upiecze się kurczęta i obejdzie się doskonale bez sałaty — uspakajała pani March.

— Ach Boże co za nieszczęście — wołała z kuchni Elżbietka — Hanna zostawiła kurczęta na

stole i poszła do piwnicy, a te obrzydliwe koty porzarły kurczęta, tak mi przykro Amelko, co teraz zrobimy?

— W takim razie muszę mieć homary, sam ozór nie wystarczy — zdecydowała Amelka.

— Czy mam pojechać do miasta i przywieźć ci je — zapytała Ludka z miną męczennicy, gotującej się na ścięcie.

— Nie, dziękuję — odparła Amelka, starając się ukryć swe zdenerwowanie.

Zakupy udały się nadspodziewanie i pół godziny później zmęczona, lecz rada z siebie, siadła do autobusu, by powrócić jaknajprędzej do domu. Prócz niej jechała jedna tylko pasażerka, starsza jakaś niewiasta, drzemiąc w kącie. Aby skrócić sobie czas podróży, Amelka zaczęła robić rachunek sumienia, wyliczając pocichutku sobie na co rozeszły się jej wszystkie zaoszczędzone pieniądze. Tak była zagłębiona w rozmyślaniach, że nie zauważyła nawet nowego pasażera, który wskoczywszy w biegu, usiadł naprzeciw niej.

— Dzień dobry panno March!

Podniosła oczy i poznała jednego z najelegantszych kolegów Teodorka. Przypuszczając że młody człowiek wysiądzie przed nią, Amelka umyślnie starała się nie patrzeć na stojący przy jej nogach koszyk i, uśmiechnąwszy się z zadowoleniem na myśl, że nosi na sobie nowy kostjum, zaczęła rozmowę ze zwykłą sobie swadą. Czas przechodził mile i szybko. Nagle autobus zatrzy-

mał się i starsza kobieta skierowała się ku wyjściu. Przechodząc jednak, zaczepiła nogą i przewróciła koszyk Amelki. O! zgrozo! cała prozaiczna jego zawartość ukazała się arystokratycznym oczom młodzieńca.

— Na Jowisza, zapomniała obiadu! — krzyknął towarzysz Amelki, chcąc wyrzucić koszyk za kobietą.

— Nie, proszę zostawić, to jest... tego... to jest moje — mruknęła w zakłopotaniu, okrywając się rumieńcem, czerwieńszym od jej homara.

— Ach tak? Proszę mi wybaczyć, panno March!

— Ale rzeczywiście rzadki okaz — dodał sprytnie.

Amelka podniosła koszyk, postawiła koło siebie i, szybko opanowując sytuację, wybuchnęła nagle śmiechem.

— Czy nie zechciałby pan spróbować sałaty z tego homara i zobaczyć kilka młodych i ładnych panienek, które ją będą jadły — zapytała.

— Napewno będą kpić i wyśmiewać się ze mnie, wraz z tym obrzydliwym Teodorkiem, ale trudno i tak nie będę tego słyszała — pocieszała się Amelka, gdy młody p. Teodor wstał i pożegnawszy się grzecznie wyskoczył.

W domu nie wspomniała nic o tem nieszczęsnem spotkaniu i wzięła się pilnie do pracy. O dwunastej wszystko było gotowe i Amelka w nowiutkim kostjumie pojechała najętym powozikiem na stację.

— Jadą, nareszcie, wyjdę do bramy, naprzeciw nim, no, skończą się kłopoty mego maleństwa — rozrzewniła się pani March, zbiegając szybko po schodach. Po chwili zawróciła, w powozie obok Amelki dojrzała jedną tylko postać.

— Elżbietko, biegnij prędko i pomóż Hannie sprzątnąć połowę ze stołu. Zastawa na 12 osób i jeden jedyny gość — krzyczała Ludka, a ruchliwa jej twarzyczka drgała od powstrzymanego śmiechu.

Amelka weszła spokojnie, grzeczna do przesady, dla swego jedynego gościa, reszta rodziny grała świetnie swe role, odgrzane drugie śniadanie zostało spożyte, obejrzano pracownię i ogród, poczem Amelka obwoziła koleżankę po okolicy, o zachodzie słońca młode dziewczątko odjechało do domu, a Amelka zmęczona i zdenerwowana powróciła do domu.

— Czy udał się spacer — pytała troskliwie pani March.

— Panna Eliott jest miłą dziewczynką i zdaje się, że się dobrze tutaj czuła — zrobiła uwagę Elżbietka.

— Czy mogłabyś mi dać do domu kawałek tortu dla Jasia, nie umiem zrobić tak dobrego jak twój — prosiła Małgosia.

— Weź cały, ja jedyna tutaj lubię słodycze, a zepsułby się z pewnością zanim spróbowałabym go sama — odparła Amelka, spoglądając z niesmakiem na wielki talerz z tortem.

— Szkoda, że niema tutaj Teodorka, tenby nam pomógł — zaczęła Ludka, gdy, po raz czwarty w ciągu dwóch dni, zasiedli do lodów i sałaty z homara.

— Myślałam, że umrę ze śmiechu, gdy zobaczyłam was obie w powozie, a mamę wychodzącą na przywitanie towarzystwa — śmiała się Ludka.

— Bardzo mi przykro, kochanie, że spotkało cię rozczarowanie, ale wszystkie starałyśmy się zadowolić cię — rzekła matka.

— Jestem zadowolona, zrobiłam to, co postanowiłam, i nie moja w tem wina, że się nie udało. Tem się pocieszam — mówiła smutnie Amy — dziękuję wam za pomoc, a jeszcze bardziej będę wam wdzięczna, jeśli nie będziecie o tem wspominały przez cały miesiąc.

---

## ROZDZIAŁ III.

Co pewien czas Ludka zamykała się w pokoju, wkładała wielki, czarny fartuch, i pracowała zawzięcie. Natchnienie dopisywało zwykle w ciągu tygodnia lub dwu i Ludka chodziła potem głodna, śpiąca i zła.

Sześć tygodni czekania, to wieki dla młodej dziewczyny, gdy trzeba jeszcze do tego zachować tajemnicę.

Zdenerwowana ostatecznie Ludka straciła już nadzieję otrzymania jakiejkolwiek odpowiedzi, gdy oto nadszedł list, który sprawił jej nieopisaną radość, bo w kopercie leżał czek na całe sto dolarów. Oszołomiona i wzruszona nie wiedziała co robić, gorączkowo przebiegać zaczęła list, a łzy padały na papier. Gdyby wydawca wiedział jaką jej radość sprawił, bo list ucieszył ją więcej jeszcze jak pieniądze, dodawał jej sił i nowego bodźca do pracy.

Tyle wysiłków, tyle nieprzespanych nocy. Teraz zabierze się do pracy i stworzy coś większego i lepszego, niż ta sensacyjna powieść.

Trudno opisać z jaką dumą i radością śpieszyła Ludka na dół, by zelektryzować całą rodzinę uka-

zaniem się z listem w jednej ręce, z czekiem w drugiej.

Nagroda literacka! Ona, Ludka, ją otrzymała. Wrażenie było piorunujące. Gdy nadeszła książka, wszyscy czytali ją i chwalili, tylko ojciec, chociaż po przejrzeniu pochwalił, że język jest dobry i treść interesująca, to jednak pokiwał głową i rzekł:

— Ludko, ciebie stać na lepsze rzeczy, wspinaj się na wyżyny, nie dbając o pieniądze, pisz dla siebie, nigdy, nie obstalunek.

— Ej ojczulku, ja jednak myślę że pieniądze, to ważna rzecz.

— Co zrobisz Ludko z takiem bogactwem — zapytała Amelka.

— Wyślę mamę i Elżbietkę nad morze na miesiąc lub dwa — odparła szybko Ludka.

— Jakby to było wspaniale, ale nie możemy tego przyjąć, kochana Ludko, to byłoby zbyt samolubnie — mówiła Elżbietka.

Zamyśliła się jednak poważnie i głęboko westchnęła, jakby wdychając już świeże, morskie powietrze do swego chorego organizmu.

— Ależ naturalnie, pojedziesz, Elżbietko — mówiła rozpromieniona Ludka, obracając czek w ręku. W tym celu pracowałam i dlatego zwyciężyłam. Nic mi się nie udaje, gdy myślę o sobie, więc w ten sposób pomagasz mi, rozumiesz. A pozatem mateczka potrzebuje zmiany powietrza,

a ponieważ cię nie opuści, więc musisz pojechać z nią. Czy to nie będzie piękne, jak wrócisz gruba i czerwona z powrotem.

— Wiwat niech żyje doktór Ludka!

Po długich pertraktacjach wyjechano nad morze. Wprawdzie Elżbietka nie wróciła gruba i czerwona, ale wyglądała o wiele lepiej, a pani March zapewniała, że czuje się o 10 lat młodszą.

To wszystko zachęciło Ludkę do intensywniejszej pracy, czeki były częstszemi gośćmi: „Książęce Córa“ zapłaciła rachunki rzeźnika, „Tajemnicza Ręka“ sprawiła nowy dywan, a „Wyżyny Klasztorne“ zaopatrzyły rodzinę Marchów w nowe ubrania, powiększając również zapasy śpiżarniane.

Bogactwo jest rzeczą miłą. Zachęcona powodzeniem pracowała Ludka zawzięcie. Postanowiła wreszcie napisać większą powieść. Włożyła w nią cały swój młodzieńczy zapał, przez usta bohaterki wygłosiła wszystkie swe myśli zuchwałe. W jej zrozumieniu była to jej najlepsza praca. Przepisawszy powieść trzy razy, posłała ją trzem wydawcom. Po pewnym czasie przyszła odpowiedź, akceptująca pracę tę do druku, pod warunkiem, skrótu do jednej trzeciej i opuszczeniem tych części, które młoda autorka najbardziej w tej książce ceniła.

Ludka buntowała się.

— Sprawiedliwa krytyka jest najlepszą oceną pracy — uspakajała ją matka.

— Takbym chciała widzieć twą powieść wydrukowaną i to jaknajprędzej — prosiła cichutko Elżbietka, całując tkliwie siostrę.

Ze spartańską odwagą położyła młoda autorka swój twór i z pasją zaczęła go krajać i obcinać. Chcąc przypodobać się wszystkim, wzięła pod uwagę wskazówki wszystkich trzech wydawców, nie postępując w końcu za żadną.

Powieść została wydrukowana, a Ludka otrzymała trzysta dolarów. Uwagi w prasie doprowadzały ją do pasji, zarówno pochwały jak i nagany.

— Bo pomyślcie tylko — denerwowała się — czy to nie może człowieka złościć. Wszystko co wzięłam z życia, nazwano „nieprawdopodobną fantazją“, a sceny, które wymyśliła moja własna głupia głowa, figurują jako „czarująco naturalne, czułe i prawdziwe. To mnie pociesza i niebawem zacznę pracować na nowo.

---

## ROZDZIAŁ IV.

Szczęście kwitło w małym białym domku, zamieszkałym przez młodych państwa Brooke Małgosia zabrała się z zapałem do pracy gospodarskiej, a Jan pomagał jej w miarę sił i możności. Zakochanemu mężowi wydała się Małgosia jeszcze piękniejszą, gdy rozmawiając z nim gniotła ciasto na kluski. Janek nie tracił uroku w oczach Małgosi, gdy całując ją na pożegnanie pytał czule.

— Czy mam kazać przysłać baraninę, czy kotlety cielęce na obiad?

Przez parę pierwszych tygodni młoda para zajęta była urządzaniem i przystrajaniem swego gniazdka, lecz wkrótce Jan pojął, że jako głowa rodziny musi poważnie myśleć o przyszłości i zabrał się energicznie do pracy. Jego młoda pani zajęła się wyłącznie gospodarstwem, przyczem zapał i dobre chęci zastępować musiały jej brak doświadczenia.

Poważną troską jej było, idąc za przykładem mamy, zaopatrzyć śpiżarnię swą we własne arcydzieła. Trzeba było zacząć od marmolady z borówek, którą Jaś nadewszystko lubił. Pan domu

miał dostarczyć 12 słoików i cukier. Borówki miały być zebrane w lesie. Jan Brooke przekonany, że „moja żona“ potrafi wszystko, przyniósł tegoż dnia słoiki, pół głowy cukru i obstalował chłopca do zrywania jagód. Małgosia dzielnie wzięła się do pracy, pewna powodzenia, bo czyż nie widziała ze sto razy jak to Hanna z mamą robiły. Co prawda, z początku przeraził ją ogrom pracy — napełnić 12 słoików, to rzecz nielada — ale Jaś przepadał za marmeladą borówkową. Przewertowawszy dziesięć książek kucharskich (podarek ciotki March) zabrała się energicznie do dzieła.

Borówki uzbierano, oczyszczono, ocukrzono — zaczęło się smarzenie. Lecz te, niegodziwe, nie chciały fermentować. Łamała sobie biedaczka głowę, aby przypomnieć jakto się w domu robiło, ale duma młodej mężatki nie pozwoliła jej iść do matki po radę. Przeszedł skwarny, letni dzień, zbliżał się wieczór, a borówki stały ciągle na ogniu, a pani tego domu usiadła sobie skromnie na stołeczku kuchennym, i ukrywszy twarz, w mocno zamorusanych rękach, gorzko płakała.

Wpierwszym okresie pożycia małżeńskiego Małgosia dumna ze swej roli gospodyni, często mawiała: „mój mąż może zaprosić do nas, kogo mu się podoba. Nie będzie sporów i nieporozumień, zawsze w domu czeka na niego wesoło uśmiechnięta żona i dobry obiad“. „Tak, tak Jasiu, nie krępuj się nigdy i nie pytaj o pozwolenie, zaprosić możesz

kogo chcesz i kiedy chcesz, a możesz być pewny, że gość będzie zawsze dobrze przyjęty".

Gdyby nie to, że Janek zapomniał, jak na śmierć, o marmeladzie, byłoby to nie do darowania, że właśnie tego dnia sprowadził nieoczekiwanie przyjaciela na obiad. Wiedział, że będzie dobry obiad, wierzył, że wszystko będzie na czas gotowe i z góry cieszył się na wrażenie jakie wywoła ukazanie się jego ładnej żony, wybiegającej na spotkanie. Lecz co to... nikt nie wychodzi naprzeciw, a z krzaków borówczanych słychać tylko donośne chrapanie — to chłopiec zmęczony zbieraniem, odpoczywa.

— Zdaje się, że stało się coś u nas. Poczekaj w ogrodzie Scoot, a ja zaraz sprowadzę żonę.

W powietrzu czuło się zapach spalenizny. Przestraszony Janek wbiegł do kuchni.

— Co się zrobiło kochanie — krzyknął, ujrzawszy żonę brudną, siedzącą z załamanemi rękoma przy kominie.

— Och Jasiu, Jasiu, jestem taka zmęczona i nieszczęśliwa, pomóż mi drogi, bo umrę już chyba — wybuchnęła płaczem.

— Co się stało dziecino, czy wydarzyło ci się co złego? — pytał czule, całując Małgosię.

— Och tak — wykrztusiła z rozpaczą.

— Prędko, prędko opowiadaj, na wszystko znajdziemy radę.

— Ma...marmolada nie chce się zrobić!

Janek Brooke wybuchnął serdecznym śmiechem, śmiał się tak długo, że aż łzami napełniły się jego oczy.

— Ależ Małgosiu, kochanie... i z tego powodu rozpaczasz? nie myśl o takiem głupstwie, kupię ci dwadzieścia słoików gotowych konfitur, a teraz nie płacz, gdyż w ogrodzie czeka Karolek Scoot, którego sprowadziłem na obiad i który...

Nie dokończył, gdyż Małgosia odskoczyła, załamała z rozpaczą dłonie i zajęczała:

— Janie Brooke, gość na obiedzie dzisiaj... nic nie jest przygotowane! Jak mogłeś mnie coś podobnego uczynić.

— Cicho! Na Boga! Scott siedzi w ogrodzie — wyszeptał Janek — rzeczywiście zapomniałem o tych nieszczęsnych borówkach, ale teraz jest zapóźno, obiad być musi!

— Powinieneś mi był dać znać rano, wiedziałeś jaka ja zapracowana — łkała Małgosia.

— Rano nie wiedziałem o niczem, nie mogłem cię więc uprzedzać, Karolka spotkałem przed chwilą; ty leś razy dowodziła, że jesteś zawsze gotowa przyjąć moich gości, że śmiesznem by było, gdybym cię miał specjalnie prosić o pozwolenie. No, ale mam tego dosyć i możesz być pewną, że już nigdy nie skorzystam z twego solennego zapewnienia — odparł Janek, mocno poirytowany.

— Myślę, że więcej tego nie zrobisz, a teraz zabierz go stąd jaknajprędzej. Nie chcę go za nic na świecie widzieć, obiadu dzisiaj nie będzie!

— A to pięknie, a to mi się podoba, a gdzież jest pieczeń, gdzie są jarzyny, które ci sam rano przysłałem. Co się dzieje z leguminą, o której mi mówiłaś?

— Nie miałam czasu ani chęci przygotować, chciałam abyśmy dzisiaj zjedli u rodziców. Bardzo cię przepraszam, ale... i łzy znowu obficie polały się po pobladłej twarzyczce.

Janek zasadniczo był człowiekiem wyrozumiałym, ale po całodziennej pracy przybyć do domu i zastać taki nieład, nieporządek, pusty stół i płaczącą żonę, tak, to chyba nie mogło go usposobić pokojowo. Mimo to, powstrzymywał jeszcze zdenerwowanie i łagodnie zauważył.

Przyznaję, że mimowoli zrobiłem ci kłopot, zapanuj jednak nad sobą i okaż trochę dobrej woli, a wszystko da się jeszcze naprawić. Nie płacz, dziecinko, ale przygotuj nam to, co masz do zjedzenia, obydwaj jesteśmy głodni jak wilki i ręczę ci że spałaszujemy wszystko. Daj nam zimnego mięsa, chleba, sera, no i... marmelady, nie, nie, żartowałem przecież.

Zapóźno, okropne słowo „marmolada“ w ustach męża, zadecydowało o jego losie. Małgosia uczuła się dotkliwie obrażona, że ten niegodziwy Janek znęca się nad nią i wyśmiewa, gdy ona jest tak bardzo nieszczęśliwa.

— Naważyłeś piwa, to je sam wypij — powiedziała zimno, nie patrząc mu w oczy — ja nie podam wam obiadu składającego się z zimnego mięsa i chleba. Weź sobie twego ukochanego przyjaciela i idźcie do matki, do restauracji, dokąd chcesz. Jemu powiedz, że zachorowałam, umarłam, nie ma mnie i Małgosia zrzuciwszy fartuch wybiegła z kuchni, mocno trzaskając drzwiami.

Nigdy nie dowiedziała się Małgosia co robił jej małżonek ze swym przyjacielem tego wieczoru, a gdy zeszła po paru godzinach do jadalni, zobaczyła, ze zgrozą, na stole resztki zjedzonego obiadu. Służąca zeznała, że panowie jedli dużo i głośno się śmiali, a pan kazał wyrzucić borówki i schować słoiki do piwnicy.

W pierwszej chwili chciała Małgosia pobiegnąć do matki na skargę, lecz nie, niech on będzie okrutny, lecz nikt nie powinien o tym wiedzieć. Sprzątnęła więc ze stołu, przebrała się i postanowiła czekać na męża.

Na nieszczęście Janek nie nadchodził, przed przyjacielem wykręcił jakoś całą awanturę. Wytłumaczył swą żonę jak tylko umiał i mógł najlepiej, grał rolę gospodarza tak dobrze, że zachwycony przyjaciel obiecał przychodzić częściej, ale w głębi serca był, pierwszy raz w życiu, na swą ukochaną Małgosię rozżalony, przykro mu było, że opuściła go w niebezpieczeństwie.

Małgosia czuła dobrze, że postąpiła niesłusznie i postanowiła uderzyć w pokorę. Wyjść więc

na spotkanie zagniewanego małżonka i go serdecznie przeprosić i ucałować. Ale oczywiście, tkwiący dzisiaj, w niej duch przekory znowu zwyciężył i zamiast wybiec na spotkanie, jak to sama sobie obiecywała, zrobiła mocno obrażoną minkę, pochyliła się nad robotą i udawała, że nie widzi wchodzącego męża.

Jan przekonany, że zastanie czułą Niobe, której wspaniałomyślnie wybaczyć będzie mógł jej przewinienia, zdziwił się niemile, ujrzawszy panią domu zimną i spokojną, zajętą mocno haftowaniem jakiejś poduszki, skłonił się więc tylko ceremonjalnie i nie mówiąc ani słowa, położył swą, skołataną tragicznemi przejściami dnia dzisiejszego, głowę na kanapie i zagłębił się w czytanie gazety. Wiadomości bieżących, jakoś dzisiaj zupełnie nie mógł zrozumieć i po chwili gazeta znalazła się na drugim końcu pokoju, a pan Brooke spoglądał przez okno, bębniąc zapamiętale po szybie. Pani Broockie podeszła do drugiego okna, siadła przy niem i dalej haftować zaczęła.

— Małżeńskie pożycie wymaga jednak wielkiej cierpliwości — rozmyślała Małgosia. — Tak, tak, mama zawsze nam o tem mówiła, cierpliwości i wyrozumiałości. Kochana mateczka, ona zna życie i naraz wszystkie matczyne rady i przestrogi przyszły jej na myśl.

— Jeśli obydwoje zbłądzicie — uczyła mama, przeproś pierwsza, unikaj małych sprze-

czek, nieporozumień i złych słów, których już cofnąć nikt nie jest w stanie.

— Ma rację mateczka, trzeba przełamać się i pierwsza przeprosić. Spojrzała na Jasia ze łzami w oczach, lecz ten nie patrzał nawet w jej stronę. Odłożyła robótkę, przeszła powolutku przez pokój i stanęła przy nim. Boże, żeby chociaż spojrzał, ale nie, przeciwnie, odwrócił głowę. Biednej, skruszonej grzesznicy łzy stanęły w oczach, przez chwilę wahała się, to chyba ponad jej siły, jeszcze teraz prosić go o przebaczenie. Chwila zastanowienia i Małgosia, łzami zroszony, pocałunek złożyła na jego czole. Forteca była zdobyta i w chwilę później pani Janowa siedziała u męża na kolanach, i ten ostatni przepraszał ją gorąco.

— To było szkaradnie z mej strony, śmiać się z biednych borówek, przebacz, nigdy już nigdy nie będę.

Ale nie było to prawdą, z borówek tych śmiał się nietylko pan Jan, ale śmiała się i pani Janowa, co dziwniejsze, że z przyjemnością powracali do tej historji z nieszczęsnemi borówkami, a nawet obydwoje zwierzając się mamie doszli do przekonania, że były to najsłodsze ich konfitury, gdyż dzięki nim przekonali się jak bardzo się kochają i jak strasznie im było być chociaż chwil parę w niezgodzie.

Nazajutrz zaprosiła Małgosia pana Scotta, obiadek był taki pyszny, a gosposia tak przemiła, że biedny Karolek zwierzył się Janowi, że ma dosyć

kawalerskiego życia i że będzie teraz na gwałt szukał żony, która musi być chociaż w części tak miła i gospodarna jak pani Brookie.

I tak przeszedł rok, a w połowie lata Małgosię spotkało nowe doświadczenie życiowe, najpoważniejsze w życiu kobiety.

Tego dnia Teodorek przybiegł zdyszany do małego domku. W kuchni przyjęła go rozpromieniona Hanna.

— Jak się czuje mała mamusia, gdzie są wszyscy. Kiedy się to wszystko stało?

— Małgosia jest szczęśliwa jak królowa, niech Pan wejdzie do saloniku, przyślę tam wszystkich — odparła stara Hanna z uśmiechem.

Pierwsza weszła Ludka, niosąc na rękach flanelowe zawiniątko.

— Proszę cię zamknij oczy i wyciągnij ręce.

Teodorek cofnął się, chowając ręce poza siebie.

— Nie, nie, pięknie dziękuję, upuściłbym to zaraz i potłukł, czy to...

— W takim razie nie zobaczy Pan swego siostrzeńca — zadecydowała Ludka.

— No, dobrze, już dobrze, kładź to, ale pamiętajcie, nie odpowiadam za szkody — i Teodorek, z miną bohatera, zamknął oczy i poczuł zaraz na rękach malutki ciężar.

Chóralny śmiech, Teodorek otwiera oczy i ze zdumieniem spostrzega na rękach dwoje dzieci.

— Boże wielki, przecież to są... bliźniaczki — wybełkotał, — nie, kapitalne, zabierajcie no ten bagaż, bo pęknę ze śmiechu, no bo zrzucę.

Gdy dzieci były już na ręku u swego ojca, Teodorek dał upust swej radości.

— Jak Boga kocham, to pyszny kawał, odrazu dwoje... Nadzwyczajne. Daj Jasiu niech ich dobrze obejrzę. Obydwaj chłopcy, prawda? i Teodorek spoglądał na noworodków z miną znawcy, oglądającego ciekawe zbiory muzealne.

— Chłopczyk i dziewczynka, czy nie są piękne — pytał dumny ojciec, nachylając się nad maleństwami.

— Chłopcu damy na imię Jan Adam, a córka będzie Małgorzata, tak jak matka i babka, będziemy wołali na nią „Stokrotka", aby nie było dwóch Małgorzat. Stokrotka i Adaś to dobrze brzmi prawda? — pytała Amelka, bardzo dumna ze swej roli ciotki.

— Stokrotka i Adaś doskonale, dzieci w mojej pierwszej powieści tak samo nazwę — krzyknęła druga, nowo-kreowana ciotka Ludka.

---

## ROZDZIAŁ V.

— Czas już, najwyższy czas, chodź no Ludko!

— Dokąd?

— Nie będziesz chyba tak bezczelną, by mi dowodzić, żeś zapomniała, że to dzisiaj właśnie postanowiłyśmy odrobić wszystkie wizyty.

— Robiłam już wiele głupstw w moim życiu, ale nie mogę sobie wyobrazić bym była tak szalona i obiecywała ci odrobienie sześciu wizyt jednego dnia, kiedy jedna jedyna i taka najkrótsza kosztować mnie będzie masę zdrowia.

— Właśnie, właśnie, że obiecałaś. Zawarłyśmy przecież formalną umowę, ja podjęłam się wykończyć szkic Elizy, ty zaś miałaś iść ze mną z wizytami.

— To było wymuszenie, zato możesz iść do więzienia na sześć miesięcy, — nie ruszam się z domu.

— Nie wykręcisz się. Patrz jaka ładna pogoda. Odrobimy tę pańszczyznę i będziesz później miała sześć miesięcy zupełnego spokoju.

W tym okresie czasu, Ludka zamknąwszy swe wielkie bruljony na cztery spusty, z zapałem pra-

cowała nad krawiecczyzną; była ona generalnym dostawcą palt dla całej rodziny Marchów, zdobywając sobie głębokie uznanie klijenteli, gdyż władała igłą, tak dobrze jak piórem. Nienawidziła ona wizyt, ale cóż było robić? Słowo się rzekło, Amelka związała ją obietnicą. Nie było innego wyjścia. Rzuciła ze złością nożyce, odłożyła robotę i włożywszy z rezygnacją kapelusz, oznajmiła tragicznym głosem, że ofiara na całopalenie gotowa.

— Ludko March, nie chcesz chyba wyjść w takim stanie — krzyknęła Amelka, oglądając ją z przerażeniem.

— Dlaczego nie? Suknia moja jest czysta, świeża i wygodna, w sam raz na dzisiejszy upał. Jeśli ludzie więcej zważają na mój strój, niżli na mnie, to ich sprawa. Wystrój się, za nas obydwie, ty przecież przepadasz za tem.

— O, napadł cię znowu duch przekory Ludko, daj spokój — i Amelka zaczęła przystrajać siostrę, wykręcając biedaczkę na wszystkie strony.

Gdy wreszcie włożyła jej nowy ładniutki berecik, a na ręce wciągnęła rękawiczki, haftowane według ostatniej mody — toaleta była skończona.

— Wyglądasz zupełnie dobrze. Odwróć się jeszcze bokiem, tak, jeszcze na lewo, no, nie rób tak strasznych min — roześmiała się Amelka, gdy Ludka wykrzywiała swą ruchliwą twarzyczkę w najokropniejszy sposób.

— Błagam cię Ludko, — prosiła Amelka, gdy ruszyły w drogę, — bądź spokojną, wytworną, nie

będziemy tam dłużej jak 15 minut, tyle możesz wytrzymać...

— Poczekaj chwileczkę: spokojna i wytwórna! Tak to mogę ci przyrzec, grałam kiedyś młodą hrabinę na scenie i doskonale pamiętam tę rolę, tak, tak, bądź spokojną siostrzyczko.

Nieszczęsna Amelka uwierzyła swej siostrze, ta zaś złożywszy sztywny ukłon usiadła na fotelu spokojna jak morze w lecie, zimna jak lód i milcząca jak sfinks.

Napróżno pani Chester naprowadzała rozmowę na temat pięknej nowelki Ludki, napróżno panny Chester opowiadały o balach, o operze i modach. Na każde pytanie i każdą uwagę była jedna odpowiedź: głupkowaty uśmiech, sztywny ukłon i krótkie, „tak, nie“.

Biedna Amelka kopała ją niemiłosiernie pod stołem. Nie pomagało, Ludka trzymała się jak mur. Była chłodna, spokojna i wytworna.

— Cóż to za dumna, nieinteresująca osoba, ta starsza panna March — zrobiono uwagę gdy obydwie siostry pożegnały się i wyszły.

— Jak mogłaś mnie tak źle zrozumieć. Chciałam, abyś zachowała się z godnością a ty siedziałaś tam jak mumja egipska. Bądźżesz chociaż teraz inną, pamiętaj, że u Lampsów zbiera się najlepsze towarzystwo, plotkuj z dziewczętami, udawaj że cię interesują stroje, flirty i t. d., tak bardzo pragnę abyśmy zrobiły tam dodatnie wrażenie.

— Dobrze, będę miłą, będę plotkowała, będę w miarę potrzeby, zachwycała się lub oburzała każdym głupstwem, taką rolę miałam też w swym bogatym repertuarze. Zobaczysz, jaka ja będę bajeczna. Przyjdzie mi to z łatwością, przekonasz się czy nie powiedzą — „cóż to za zachwycająca osoba ta Ludwika March“.

Amelka dość sceptycznie zapatrywała się na obietnicę Ludki, ale naprawdę w najbardziej pesymistycznych przypuszczeniach nie mogła wyobrazić sobie sceny, która nastąpiła i formalnie zadrżała, gdy ujrzała, jak Ludka rzucała się na szyję wszystkim pannom, i jakie spojrzenie rzucała na wszystkich młodych ludzi.

Amelka siedziała obok sędziwej pani Lambo, która w sposób nudny i monotonny opowiadała jej swe wrażenia z ostatnio przeczytanych książek, gdy nagle do uszu jej doszły urywki rozmowy. Nad wszystkiemi unosił się głos Ludki, jakiś krzykliwy i dziwnie ostry.

— Amelka, o, ona jeździ konno doskonale, kto ją nauczył? nikt, sama się nauczyła. Jako dziecko siadała na gałęziach drzew udając jazdę. Teraz dostaje konia prawie darmo i jeździ, no płacić by nie mogła, na takie zbytki pozwolić sobie nie jesteśmy w stanie.

Boże co robić? Opowiadanie pani Lambo ciągnie się bez końca, wstać i przerwać w żadnym razie niemożna, a ta Ludka, co ona wyprawia. Amelka czuje, że krew jej uderza do głowy. Z drugiego

pokoju dobiega śmiech a w ślad za tym dalsze tyrady tej niegodziwej dziewczyny.

O Amelka umie wszystko: ot teraz ostatniej soboty, szła na wieczorek do Sally i potrzebowała gwałtownie nowych pantofli. Wiecie państwo co zrobiła? — pomalowała swoje stare, brudne, białe pantofle na piękny błękitny kolor i wyglądały zupełnie jak nowe...

— Czytałyśmy powieść pani, bardzo, bardzo mi się podobała, wtrąciła starsza panna Lambo, chcąc zrobić przyjemność młodej literatce.

— Mój Boże, ależ to straszne powieścidło, bardzo mi przykro że nie znalazła pani nic lepszego do czytania. Napisałam te głupstwa, gdyż potrzebowałam pieniędzy, a mało inteligentna publiczność lubi takie sensacje.

Ostatnia uwaga Ludki była wprost skandaliczną, zważywszy że pannie Lambo powieść ta się podobała. Zrozumiała to Ludka i bojąc się jeszcze przez jakieś tłumaczenie sprawę pogorszyć, wstała dając sygnał do odejścia.

— Amelko, musimy już iść! Dowidzenia, dowidzenia, prosimy do nas i to jaknajprędzej. Czekać będziemy z niecierpliwością, a może i Panowie zechcą łaskawie, będzie nam bardzo miło.

Ton i mina Ludki były tak komicznie poważne, że Amelka wybiegła prędko, gdyż zbierało się jej na śmiech i płacz zarazem.

— No, tutaj chyba doskonale mi poszło — zapytała zadowolona z siebie.

— Nic gorszego nie mogłaś już zrobić — brzmiała zagniewana odpowiedź. — Co ci do głowy wpadło, aby opowiadać o koniach, pantoflach i innych głupstwach?

— A cóż w tym złego. Wszak oni wszyscy doskonale wiedzą że jesteśmy ubodzy, więc nonsensem byłoby dowodzić, że żyjemy na takiej samej stopie jak i oni.

— Ech, co z tobą dyskutować. Nigdy nie nauczysz się trzymać języczek twój na wodzy.

— Trzecia wizyta! Jak mam się tutaj zachowywać?

— Rób co chcesz, ja umywam od wszystkiego ręce!

— No doskonale, to może wreszcie i ja się rozerwę trochę, żeby tylko chłopcy byli w domu, bo tych rozmów panieńskich mam już powyżej uszu. Patrz, nikogo niema, to i lepiej. Zostawmy karty i zmykajmy. To nam się udało!

— Amelko chodźmy już do domu, do ciotki March możemy pójść każdego innego dnia, dzisiaj taki straszny upał.

— O, nic z tego, wiecz dobrze, że ciocia lubi jak jej składamy oficjalne wizyty. Jestto drobnostka dla nas, a jej to zrobi przyjemność. Panienki powinny być przedewszystkiem uważające i grzeczne, szczególniej jeśli są ubogie, gdyż tylko tą drogą mogą spłacić dług wdzięczności. Zapamiętaj to sobie panno Ludwiko.

Ciotkę March zastały w domu, prowadziła ona bardzo ożywioną rozmowę z ciocią Karolą, a chociaż zmieniono zaraz temat, dziewczęta domyśliły się, że musiała tu być o nich mowa.

Ludka była zła i zdenerwowana, Amelka spokojna i zrównoważona.

— Czy będziesz przyjmowała udział w tegorocznym jarmarku kochanie — zapytała ciotka Karola, gdy Amelka usiadła przy niej.

— Tak ciociu, pani Chester pytała mnie czy chcę siedzieć przy stoliku, bardzo chętnie się zgodziłam, gdyż, niestety, nic innego, poza sobą, ofiarować nie jestem w stanie.

— Nienawidzę takich szopek — wtrąciła Ludka — Chesterowie przypuszczają że robią nam wielką łaskę, zapraszając nas do swego stolika. Dziwię ci się Amelko, żeś się zgodziła. Każą ci tylko orać, a sami będą siedzieli dla parady.

— Ależ ja bardzo chętnie tam popracuję i bardzo jestem im wdzięczna, że mi dają możność tej pracy.

— Słusznie, bardzo słusznie dziecinko, bardzo przyjemnie jest pomagać ludziom, którzy oceniają nasze wysiłki — zauważyła ciotka Marsch, patrząc poprzez szkła na Ludkę.

Gdyby Ludka była przypuszczała, jak ważne sprawy ważą się teraz dla nich obu, byłaby z pewnością powściągnęła swój niesforny języczek, ale cóż, kiedy nie jest nam danem wiedzieć co się dzieje w sercach naszych przyjaciół.

— Boże, ja tak nie cierpię łaski, upakarza mnie ona, wolę ciężko pracować, ale być niezależną zawsze.

— Ahem —zakaszlała ciotka Karola, spoglądając z pod oka na ciotkę Marsch.

— Czy nie mówiłam tego Karolu?

— Czy władacie francuskim kochane?

— Ja zupełnie płynnie i zawdzięczam to tylko cioci Marsch — odparła Amelka patrząc serdecznie na starą pannę, która uśmiechała się z zadowoleniem.

— Ja za to nie mam pojęcia; wprost ani słowa! Za głupia jestem na uczenie się języków, a francuskiego specjalnie nie lubię, brzmiała odpowiedź drugiej siostrzenicy.

Obydwie panie zamieniły znów znaczące spojrzenie, a ciotka March pytała dalej:

— Jak z twojem zdrowiem Amelko? Czy zupełnie dobrze się czujesz? Czy nie bolą cię już oczęta?

— Nie, dziękuję! Jestem zupełnie zdrowa, dziękuję cioci za pamięć.

Ludka dała znowu sygnał, dziewczęta pożegnały ciotki i ruszyły wreszcie do domu, pozostawiając poza sobą wrażenie cienia i promienia słonecznego, tak przynajmniej określiła to ciotka Karola.

— Ty lepiej to zrobisz Karolu, ja dam pieniądze.

— Doskonale, zgadzam się, lecz czy tylko rodzice jej pozwolą.

W tydzień później nadszedł list od ciotki Karoli, a treść tego listu musiała być bardzo miła, gdyż łagodna twarz pani March rozjaśniła się tak przy czytaniu, że Elżbietka i Ludka, które były przy niej, jednocześnie zapytały o treść tej radosnej nowiny.

— Ciotka Karola wyjeżdża do Europy i chce...

— Zabrać mnie ze sobą — krzyknęła Ludka, zrywając się z krzesła.

— Nie kochanie, nie ciebie, lecz Amelkę.

— Mamo, wszak ona jest młodsza, to moja kolej. Tak dawno marzę o tym, to byłoby tak wspaniale, muszę jechać.

— Niestety, myślę że to jest niemożliwe. Ciocia pisze wyraźnie o Amelce, a przecież nie możemy jej dyktować swoich warunków, kiedy jest tak uprzejma i robi nam tak wielką grzeczność.

— Zawsze to samo, dla Amelki wszystkie przyjemności, dla mnie tylko obowiązki. Nie, to krzycząca niesprawiedliwość, tak być nie powinno, denerwowała się Ludka.

— Myślę jednakże, że dużo jest i twojej w tym winy, wiem że początkowo ciotka miała zamiar ciebie właśnie zaprosić, ale zaznacza w tym liście, że jestto niemożliwe, gdyż jakoby, czekaj jak to ona pisze: „Początkowo miałam zamiar zaprosić Ludkę, ponieważ jednak nie cierpi języka francuskiego, i łaska upokarza ją, pomyślałam że nie

należy ryzykować z zaproszeniem jej, Amelka jest grzeczniejszą i będzie dobrą towarzyszką dla naszej Stokrotki i wiem że przyjmie z wdzięcznością moją propozycję". — No przyznaj się, coś tam nagadała córeczko?

— Boże ten mój nieszczęsny język! Dlaczego nie umiem utrzymać go na wodzy, — zapłakała Ludka, przypominając sobie wypowiedziane słowa, które zadecydowały o jej losie.

Pani March wysłuchawszy spowiedzi Ludki rzekła.

— Chciałabym bardzo aby moja starsza córeczka pojechała, no, ale trudno, przepadło. Więc staraj się znieść to wesoło i nie smuć Amelki. Nie trzeba psuć jej radości wymówkami ani żalem.

— Spróbuję — westchnęła Ludka.

— Najdroższa, wiem, że to okropnie samolubnie, ale ja naprawdę cieszę się, że to nie ty, wyjeżdżasz — szepnęła Eliza, całując tkliwie, mokre od łez jeszcze oczy Ludki.

Gdy nadeszła Amelka, Ludka była już spokojna zupełnie i brała udział w ogólnej radości.

Sama Amy nie posiadała się ze szczęścia i zaraz zaczęła segregować swe farby i ołówki, zostawiając ubrania, bieliznę, paszport innym mniej zaabsorbowanym.

— Okazja jest nadzwyczajna, dziewczynki, gdyż jeśli naprawdę mam talent, to okazać się to może tylko tam, w Rzymie, a wtedy coś ze mnie jeszcze będzie.

Czasu nie było wiele na przygotowanie. Cały dom był w ruchu, aż do jej odjazdu.

Gdy okręt miał już ruszyć, Amelka uświadomiła sobie, że ocean rozdzielił ją od tych, których kocha nad życie. Krzyknęła jeszcze stojącemi smutnie Teodorkowi:

— Opiekuj się nimi dobrze? a jeśli się coś przytrafi...

— Będę, będę z nimi, bądź spokojną — zapewniał chłopiec.

I tak Amy odjechała do starego świata, który zawsze jest ciekawy i piękny dla młodych oczu, podczas gdy ojciec i przyjaciel stali na brzegu, mocno wierząc, że nic poza szczęściem nie spotka dziewczynki. Ona powiewała im chusteczką tak długo, aż okręt zmienił się w mały punkcik i znikł wkońcu z oczu, a tylko promienie letniego słońca igrały na fali.

---

## ROZDZIAŁ VI.

Londyn.

Moi najdrożsi!

„Siedzę przy oknie w hotelu Bath, na Piccadilly. Nie jest to modny hotel, ale wuj przyjeżdżał tu przed laty i nie chce teraz zajechać nigdzie indziej. Poza tem nie mamy zamiaru pozostać tu długo, więc nie robi to różnicy. Oh, nie wiem, jak zacząć opowiadać, jak wyrazić moją radość. Wszystko mi się podoba, nie wiem, o czem pisać. Najlepiej streszczę mój dziennik.

Ciotka i Stokrotka chorowały cały czas na statku i chciały być same, więc spacerowałam wciąż po pokładzie; świeże powietrze i te fale! Emocja jak przy jeździe konnej! Zielona i osłoneczniona Irlandja podobała mi się bardzo. W Liverpolu zatrzymaliśmy się tylko kilka godzin. To wstrętne, brudne i krzykliwe miasto. Podróż do Londynu była podobna do jazdy przez galerję obrazów, pełną pięknych widoków natury. Domki fermerów były piękne, a wszędzie gra kolorów: zielona trawa, niebo niebieskie, żółte zboże, a drzewa ciemne. Obie

ze Stokrotką byłyśmy zachwycone i biegałyśmy od okna do okna, starając się wszystko zobaczyć, podczas gdy pociąg mknął z szybkością 60 mil na godzinę. Oczywiście padał deszcz, gdy dojechaliśmy do Londynu, i nie było nic do oglądania, poza mgłą i mnóstwem parasoli. Załatwienie sprawunków na Regentstreet było wspaniałe, a wszystko tak tanie — ładne wstążki po 6 pensów za jard. Ale rękawiczki kupię sobie w Paryżu. Gdy wujostwo wyszli, pojechałyśmy ze Stokrotką dorożką na spacer, chociaż później dowiedziałyśmy się, że to nie wypada tak samym młodym pannom. Dziś pogoda była ładna i poszłyśmy na spacer do Hyda Parku. Po południu byłyśmy w opactwie Westminsterskiem; ale nie spodziewajcie się, że wam je opiszę, to zupełnie niemożliwe — więc tylko powiem, że to jest coś boskiego!"

Północ.

„Jest już późno, ale nie mogę wysłać listu jutro rano bez opowiedzenia, co się stało dzisiejszego wieczoru. Jak wam się zdaje, kto przyszedł podczas podwieczorku? Angielscy przyjaciele Teodorka: Fred i Frank Vanghan. Byłam taka zdumiona gdyż znałam ich tylko z listów i opowiadania naszego przyjaciela. Obaj są wysokiego wzrostu i noszą bakobrody. Dowiedzieli się od Teodorka, że przyjeżdżamy i przyszli zaprosić nas do nich do domu. Wuj nie pójdzie, zrewizytujemy więc ich same. Dziś poszliśmy razem do teatru, bawiliśmy

się świetnie. Frank z Stokrotką, a ja z Fredem, rozmawialiśmy o przeszłości, teraźniejszości i przyszłości, jak gdybyśmy się znali Bóg wie, jak długo. Powiedzcie Elizie, że Frank pytał się o nią i przykro mu, że zdrowie jej nie jest jeszcze w porządku.

Ciotka stuka już po raz trzeci w ścianę, więc muszę kończyć i iść spać. Tęsknię za wami i na zakończenie tych wszystkich nonsensów całuję was, kochająca

Amy".

Heidelberg.

„Moja kochana Mateczko!

Mając godzinę czasu, (wyruszamy zaraz do Berna), postaram się opowiedzieć ci, co się ostatnio wydarzyło, a dużo rzeczy ważnych, jak zaraz zobaczysz.

Podróż po Renie była świetna. Podobało mi się tak bardzo! Weź przewodnik tatusia i przeczytaj sobie o tem. Nie mam słów na wypowiedzenia mego zachwytu. W Koblencji spędziłyśmy czas nadzwyczajnie, gdyż kilku studentów z Bonn, z którymi Fred zapoznał się na statku, wykonało dla nas śliczną serenadę. To było tak romantyczne: noc, w dali szumiał Ren, naprzeciw nas kontury fortecy, wszystko oświetlone księżycem i muzyka, mogąca z kamieni łzę wycisnąć.

Fred właśnie wyjechał, był taki miły, że wszyscy jesteśmy nim zachwyceni. Do dzisiejszej

serenady, ja o niczem o niczem innem, jak o przelotnej przyjaźni, nie myślałam. Tteraz czuję, że to było coś więcej. Mamo, ja doprawdy nie flirtowałam i cały czas pamiętałam o tem, co mi mówiłaś. Ale przecież nie moja wina, że ludzie lubią mnie. Postanowiłam, że jak Fred zapyta mnie, to go przyjmę, choć nie jestem śmiertelnie zakochana. Lubię go i świetnie do siebie pasujemy. On jest elegancki, młody, inteligentny i bardzo bogaty — o wiele bogatszy od Lowrence'ów. Nie myślę że rodzina jego sprzeciwi się temu; będę szczęśliwa, gdyż to są ludzie sympatyczni, kulturalni i wszyscy mnie lubią. Fred jako starszy, dostanie majątek i to taki wspaniały!

Dom w Londynie na modnej ulicy, pełen solidnego przepychu, tak jak Anglicy go rozumieją. Podobał mi się. Widziałam srebro i klejnoty rodzinne, służbę i fotografje pałacyku na wsi, z parkiem, w cudownej okolicy. Konie piękne. Oh! — to byłoby wszystko cobym chciała mieć! A to lepsze, niż jakiś tytuł, na który lecą dziewczęta, nie znajdując później nic poza nim.

Jedna z nas musi dobrze wyjść zamąż, mamo. Małgosia nie zrobiła tego, Ludka nie zrobi, Eliza nie może zrobić — więc ja. I życie potoczy się łatwo. Nie wyszłabym za człowieka, który by mi się nie podobał, lub którego nie lubię. Możesz być pewną tego. A choć Fred nie jest moim ideałem, to jednak podoba mi się, a z czasem napewno będzie mi coraz sympatyczniejszy.

Zastanawiam się przez cały tydzień, co zrobić. Wiem, że Fred lubi mnie bardzo. Nie powiedział tego, ale różne drobnostki potwierdzają to przypuszczenie. Wczoraj wieczorem poszliśmy wszyscy na spacer, Fred miał nadejść później. Nagle usłyszałam jego głos i zaraz potem przybiegł zadyszany i blady. Co się stało? zapytałam. Otrzymał list i musi natychmiast wrócić do domu, gdy Frank jest bardzo chory. Wyjeżdżał zaraz, nocnym pociągiem i ledwo miał czas pożegnać się.

Gdy ściskał mi rękę rzekł w sposób, który nie mógł być źle zrozumiany, — „Niebawem wrócę — czy nie zapomnisz o mnie, Amelko?“

Nie obiecałam, ale spojrzałam mu w oczy, a on zdawał się być z tego zadowolonym. W godzinę potem wyjechał. Wszyscyśmy go żałowali. Ale niedługo spotkamy się w Rzymie, a wtedy jeśli nie zmieni postanowienia, odpowiem mu „Tak“, gdy mnie zapyta „czy chcesz mnie Amelko?“

Oczywiście to wszystko są rzeczy, jedynie mnie obchodzące, ale chcę, żebyś o wszystkiem wiedziała. Nie troszcz się o mnie, pamiętaj, że jestem twą „roztropną Amelką“ i bądź pewną, że nie zrobię nic bez namysłu.

Przyszlij mi tyle rad ile tylko chcesz; skorzystam z nich, bądź pewna. Chciałabym zobaczyć się z tobą i do syta nagadać, mateczko. Bardzo cię kocham.

Zawsze twoja Amelka“.

---

## ROZDZIAŁ VII.

— Jestem niespokojna o Elizę.

— Dlaczego mamo, wygląda teraz daleko lepiej.

— Nie o jej zdrowie się troszczę, lecz o jej stan duchowy. Coś musi jej leżeć na serduszku i bardzobym chciała żeby ci się zwierzyło biedactwo.

— Co cię skłania do takich przypuszczeń mamusiu?

— Obserwuję ją od jakiegoś czasu i widzę że jest czegoś smutna, mniej już przebywa z ojczulkiem, śpiewa stale jakieś smętne piosenki, a w oczętach jej tkwi głęboki smutek, tęsknota, coś, co mnie szalenie niepokoi.

— Czy mówiłaś z nią o tem?

— Próbowałam parę razy, ale Eliza, albo omija moje pytania, albo spogląda mi w oczy z takim smutkiem, że daję spokój. Wiesz kochanie, że nigdy nie zmuszam moich dzieci do zwierzeń. To musi samo z serca wypłynąć.

Ludka szyła przez chwilę w milczeniu, poczem rzekła.

— Matuś, myślę że z naszej małej Elizy staje się już dorosła kobietka, zaczyna ona marzyć, przeżywa już smutki i nadzieje, nie zdając sobie z tego sprawy. Ja też przeszłam przez to, Eliza ma już osiemnaście lat!

— Możliwe. Rośniecie wszystkie szybko — rzekła pani March z uśmiechem.

—Tak, tak mamusiu, musisz się zżyć z tą myślą że pisklęta twoje wyfruną jeden po drugim z gniazdka. Ja tylko obiecuję ci matuśku, że nie wyfrunę daleko.

— Dobrze Ludko, czuję się silniejszą, gdy ty dziewczyno jesteś w domu. Małgosi już niema, Eliza jest taka słabiutka, a Amelka dzieckiem jest jeszcze. Jeśli w domu jakieś zmartwienie, — Tyś moja opora!

— Ja tam niczem się nie przerażam i dobrze, zawsze musi być jeden taki murzynek w rodzinie jeśli w domu jest coś w nieporządku — pamiętaj że zawsze jestem i będę na posterunku.

— Wiem o tem Ludeczko i dlatego oddaję ci teraz Elizę pod twoją wyłączną opiekę. Tylko swej ukochanej siostrze zwierzy się nasze maleństwo. Bądź dla niej dobrą i tkliwą tak jak ty to umiesz, i nie daj jej poznać po sobie, że nas niepokoi. Niech tylko nasze kochanie znowu będzie wesołe, a będę zupełnie szczęśliwą, nie mam ponadto innych pragnień.

— Szczęśliwa kobieta, ja mam ich takie mnóstwo!

Ludka zajęta swą pracą, od paru dni bacznie obserwowała Elizę, wreszcie po wielu nieudanych próbach, jak zwykle przypadek dopomógł do odsłonięcia rąbka tajemnicy, tak pilnie strzeżonej przez Elizę.

Pewnego dnia, gdy obydwie siedziały przy oknie, znajomy głos zanucił.

O! przyjdź dziś do mnie marzenie ty me!

Eliza zerwała się z miejsca, i z uśmiechem patrzała aż przechodzień znikł z oczu, poczem rzekła cicho jakby do siebie.

— Jak pięknie i zdrowo ten kochany nasz chłopiec wygląda.

— Wielkie Bogi, Eliza zakochała się w Teodorku — myślała Ludka blada ze wzruszenia — nigdy bym coś podobnego nie przypuszczała. Co matka powie? Ale on? Ach, gdyby on jej nie pokochał, to było by straszne, musi, musi to zrobić.

Dalsze obserwacje potwierdziły jej podejrzenia. Teodorek flirtował z Amelką, dokazywał z Ludką, z Elizą był zawsze nadzwyczaj łagodny, czuły nawet, ale z tym chorym maleństwem tak postępowali wszyscy, nie można więc było w żadnym razie wyprowadzić z tego wniosku, że jest w Elizie zakochany, przeciwnie, domownicy wszyscy byli głęboko przekonani, że Teodorek kocha się w Ludce, ona jednak nigdy słyszeć o tem nie chciała.

Tego wieczoru Ludka obserwowała Teodorka jak nigdy dotychczas. Zauważyła ża chłopiec stał

się jakiś spokojniejszy, śmiał się mniej niż zwykle i okrywał nogi Elizy pledem z czułą troskliwością.

Ona, Ludka, powinna w takim razie wyjechać i pozostawić Elizę z nim samą.

— Kto wie, zdarzały się i dziwniejsze wypadki — myślała Ludka, ona uczyni z niego anioła, a on, tak, on będzie idealnym mężem, jeśli tylko obydwoje kochać się będą.

Tej nocy nie spała wcale, szukając rozwiązania tego zagadnienia, gdy cichy płacz doszedł jej do uszu. Usiadła na krawędzi łóżka Elizy.

— Co ci jest, kochanie?

— Myślałam, że już śpisz.

— Czy stare bóle odezwały się?

— Nie, to nowy teraz, ale zniosę go odważnie — i Eliza otarła łzy.

— Powiedz mi, co cię boli i pozwól mi cię wyleczyć, tak, jak i dawniej leczyłam cię, czy nie pamiętasz?

— Na to już niema rady — głos Elizy załamał się i wybuchnęła nagle rozpaczliwym płaczem.

— Gdzie cię boli? Czy mam obudzić mamę?

Eliza nie odpowiedziała na pierwsze pytanie, ale w ciemności jej ręka mimowoli spoczęła na sercu, jakby ból tam się koncentrował. Drugą rękę wstrzymywała Ludkę, szepcąc.

— Nie, nie, nie wołaj mamy. Zaraz mi będzie lepiej. Połóż się koło mnie. Uspokój się i zaśnij.

Ludka usłuchała, położyła się obok, głaszcząc pieszczotliwie jej czoło.

— Powiedz najdroższa, powiedz swojej starej, czy masz jakieś zmartwienie.

— Tak Ludko.

— Czy nie sprawiłoby ci ulgi, gdybyś mi się zwierzyła?

— Nie teraz, jeszcze nie.

— No dobrze, więc nie pytam cię już. Ale pamiętaj, że mama i ja jesteśmy zawsze gotowe wysłuchać cię i pomóc, o ile możności.

— Wiem o tem.

— Czy ci lepiej teraz?

— Oh, tak, dużo lepiej. Jesteś taka dobra, Ludko!

— Śpij mała, jestem z tobą.

I zasnęły, a następnego poranka Elżbietka wydawała się zupełnie spokojna.

Ludka przez parę dni rozważała różne projekty i wreszcie zwróciła się do matki.

— Pytałaś mnie niedawno mamo, czy mam jakieś życzenie, otóż chciałabym wyjechać gdzieś na parę zimowych miesięcy.

— Dlaczegoż to Ludko — i matka spojrzała niespokojnie w oczy dziewczęcia, jakby czuła że wypowiedziane słowa miały jakieś podwójne znaczenie.

— Chciałabym zobaczyć coś nowego, nauczyć się czegoś i dlatego chcę wyfrunąć trochę z gniazdka i wypróbować swych skrzydeł.

— Dokąd chcesz wyfrunąć?

Ludka mówiła wesoło, jednak w głębi duszy nie wierzyła, aby Teodorek zapomniał prędko o tej swej wzgardzonej miłości.

Plan był omówiony przez radę rodzinną i został przyjęty, gdyż pani Kirke zgodziła się z przyjemnością przyjąć Ludkę, obiecując uprzyjemnić jej pracę i pobyt. Honorarjum za lekcje uniezależnią pobyt jej, a nowi ludzie i nowe wrażenia, będą przyjemne i pożyteczne dla jej karjery literackiej. Więc zasadniczo Ludka rada była ze swego projektu.

Gdy wsiadała już do pociągu, Teodorek, odprowadzający ją z bukietem szepnął.

— Nic mądrego, ani nic dobrego, nie robisz wyjeżdżając tak gwałtownie, pamiętaj, że zabierasz moje serce. I zobaczysz, że przyjadę i sprowadzę cię przemocą do domu.

---

## ROZDZIAŁ VIII.

Nowy Jork, listopad.

Najdrożsi!

„Napiszę chyba tom cały, gdyż tyle mam wam do opowiadania, chociaż nie jestem wykwintną damą podróżującą po Europie. Gdy straciłam z oczu drogą twarz ojca, upuściłam kilka łez i byłabym może dalej płakała, gdyby nie moja towarzyszka podróży, jakaś pani z czworgiem małych dzieci. Te zaprzątnęły całkowicie mą myśl, gdy obierałam im orzeszki i uraczyłam cukierkami Teodorka.

Słońce wychyliło się niebawem z za chmur, a uważając to za dobry znak, uspokoiłam się zupełnie i cieszyłam się nawet z mej podróży.

Pani Kirke przyjęła mnie tak serdecznie, że odrazu poczułam się jak w domu, choć tyle tu obcych ludzi. Oddała mi komicznie mały pokoik ze szklanym dachem. Jest w nim piecyk i okno przez które wpadają słoneczne promienie, miło więc tu i chętnie w nim przesiaduję i piszę.

Z okna mam mam ładny widok na wieżę kościelną. Pokój dziecinny, w którym będę uczyła

dzieci i szyła jest na dole, obok pokoju pani Kirke. Obie dziewczynki są bardzo miłe, chociaż trochę rozpieszcone, ale odrazu polubiły mnie, gdy im opowiedziałam bajkę o siedmiu świnkach. Będę napewno wzorową guwernantką.

Jadać mogę razem z dziećmi, jeśli wolę to, niż przy ogólnym stole. Tymczasem naprawdę wolę, gdyż jestem w gruncie rzeczy wstydliwa, choć nikt nie chce temu wierzyć.

Pani Kirke przemówiła do mnie po macierzyńsku, prosząc, abym się czuła, jak w domu. „Jestem zajęta od rana do nocy“ mówiła — ale duży ciężar spadnie mi z serca, gdy będę wiedziała, że moje dzieci są pod twoją opieką. Moje pokoje są zawsze do twej dyspozycji, a twój własny zawsze będzie czysto i porządnie utrzymany. W domu mieszka kilka bardzo miłych osób, z któremi cię zapoznam. Wieczory masz wolne. Przyjdź do mnie, jeśli coś się stanie i bądź wesołą, jak tylko możesz. Dzwonią na herbatę. Już muszę uciekać; i pani Kirke zostawiła mnie samą w mym nowem gniazdku.

Gdy zeszłam później na dół, zobaczyłam coś, co mi się spodobało: Schody są bardzo duże i wygodne w tym domu, i gdy stałam na trzeciem piętrze, chcąc przepuścić idącą na górę młodą służącą, ujrzałam jakiegoś pana, który podszedł do niej, wziął z jej rąk kubeł węgli, zaniósł na górę, postawił u drzwi wejściowych i rzekł ze specjalnie cudzoziemskim akcentem.

— Tak będzie lepiej, prawda, za młoda jesteś na dźwiganie takich ciężarów.

Powiedzcie, czy to nie było bajeczne, takie rzeczy mi się podobają, a jak mówi papa: z małych takich postępków można doskonale poznać charakter człowieka.

Gdy wieczorem opowiadałam o tym pani Kirke, roześmiała się tylko. — Tak, to z pewnością profesor Bhaer, on stale urządza coś w tym rodzaju. Profesor ten pochodzi z Berlina, jest bardzo wykształcony i szlachetny, ale biedny jak mysz kościelna. Udziela on lekcji; by utrzymać siebie i dwóch siostrzeńców — sieroty, których wychowuje tutaj, stosownie do woli swej zmarłej siostry, która wyszła za amerykanina i bardzo Amerykę pokochała. Pani Kirke oddaje mu swój salon na lekcje. Bardzo mi się ten profesor podoba, ale ma już 40 lat, więc bądź o mnie spokojna mamusiu.

Wieczorem, kiedy dziewczynki już śpią, to albo szyję i gawędzę wtenczas z moją nową przyjaciółką panią Kirke, albo piszę dzienniczek, który wam co tydzień wysyłać będę. A teraz dobranoc, jutro napiszę więcej.

Wasza Ludka.

Czwartek.

„Dzień wczorajszy przeszedł mi na lekcjach, szyciu i pisaniu w moim pokoiku, który jest bardzo wygodny. Dowiedziałam się kilku ploteczek i zostałam przedstawiona profesorowi.

Mała Tina, córeczka Francuzki, która jest prasowaczką w pralni, tak się przywiązała do pana Bhaera, że chodzi za nim po całym domu, jak piesek, co zachwyca go — gdyż nadzwyczajnie lubi on dzieci. Kithy i Minnie Kirke też go strasznie lubią i opowiadają, jak się z niemi bawi, jakie prezenty im przynosi i jakie piękne bajki opowiada. Młodzi ludzie kpią trochę z niego, nazywając go starym Frycem, lub wielkim Niedźwiedziem (Bhaer), wyprawiają z nim najrozmaitsze kawały, przekręcają jego nazwisko. On pozwala i bawi się, jak mały chłopak, mówiła mi pani Kirke, że przyjmuje wszystko z taką naturalnością, że wszyscy go lubią.

Siedziałam wczoraj wieczór w pokoju dziecinnym, gdy wszedł, przynosząc gazety dla pani Kirke. Nie było jej w domu, ale Minnie, która jest małą, dorosłą kobietą, przedstawiła mnie grzecznie:

— To jest mamy przyjaciółka, panna March.

— Tak, i jest ona śliczna, a my ją bardzo kochamy — dodała Kitty, która jest „enfant terrible".

Oboje skłoniliśmy się i roześmieli z tego sposobu przedstawienia.

— Ah, tak, słyszałem, że te dwie niegrzeczne panny chcą zamęczyć panią, panno March. Jeżeli coś się takiego zdarzy, proszę mnie zawołać, to zaraz przyjdę — powiedział łamaną angielszczyzną.

Przyrzekłam mu i wyszedł. Ale widocznie przeznaczonem jest, żebym go często widywała, gdyż dziś, gdy przechodziłam koło jego pokoju, uderzy-

łam niechcący parasolką w drzwi, które się otworzyły, a profesor stał w szlafroku z podartą skarpetką w jednej ręce, a igłą w drugiej. Nie zdawał się być wcale zawstydzonym, gdyż gdy przeprosiłam go za nieuwagę, machnął tylko ręką i powiedział wesoło:

— Dziś śliczny dzień na przechadzkę. Szczęśliwej podróży, mademoiselle.

Śmiałam się cały czas, choć to było trochę poetyczne, smutne, że biedny człowiek i to profesor musi reperować sobie sam ubrania".

Grudzień.

„Sobotnie popołudnia są zawsze wspaniałe, czy to spędzone w domu, czy poza domem. Kiedy słońce świeci wszyscy idą na spacer ze mną i z profesorem. Tyle jest przytem śmiechu!

Jesteśmy teraz bardzo dobrymi przyjaciółmi i zaczęłam nawet uczyć się niemieckiego.

Muszę wam opowiedzieć, jak do tego przyszło. Zaczynam od początku:

Jednego dnia pani Kirke zawołała mnie, gdym przechodziła koło pokoju pana Bhaera, u którego robiła porządki.

— Czyś już kiedykolwiek coś podobnego widziała? Chodź, pomóż mi uporządkować książki, bo sobie rady dać nie mogę. Nie wiem, co zrobił z sześcioma nowemi chustkami do nosa, które mu niedawno kupiłam. Taki roztrzepany! Mam prać

bieliznę jego i reperować ją, ale cóż, kiedy on zapomina oddać ją, a ja — zabrać, i przez to zostaje czasem biedaczek bez czystej bielizny na niedzielę.

— Niech pani mi pozwoli zająć się jego bielizną, wyreperuję mu, mnie nie sprawi to różnicy, aby on o tym nie wiedział. Chciałabym się odwdzięczyć za przynoszenie listów z poczty i dostarczanie książek.

W ten sposób poprzyszywałam mu guziki, pocerowałam skarpetki i nigdy by się o tem nie dowiedział, gdyby któregoś dnia, w zeszłym tygodniu nie przyłapał mnie na tem.

— Ach tak! — wyrzekł, gdy ja zawstydziłam się, jak dziecko, — że pani pomaga mi, to w tem niema nic złego, ale teraz naprawdę pytam, czy nie chciałaby pani uczyć się niemieckiego?

— Owszem, ale pan jest za bardzo zajęty, a ja za ciężka do nauki języków — i zaczerwieniłam się, jak burak.

— Pah! Czas znajdziemy i wszystko łatwo pójdzie. Wieczorami z przyjemnością będę panią uczył. Proszę pozwolić, bym i ja dług swój spłacił — rzekł ze strasznym akcentem, i wskazał na poreperowane ubrania.

Cóż mogłam zrobić? Zgodziłam się, wszak to świetna okazja, i zaczęliśmy. Wzięłam już cztery lekcje, poświęcone gramatyce.

— Teraz weźmiemy się do czegoś innego, ciekawszego. Będziemy razem czytali te bajki, a gramatykę rzucimy do kąta, żeby nas nie męczyła.

Otworzył Bajki Andersena, zapraszając do czytania. Gdym przeczytała pierwszą stronę i zatrzymałam się dla nabrania oddechu, klasnął w ręce i krzyknął wesoło:

— Das ist gut! — Świetnie idzie nam!

Bardzo jest dla mnie miły.

Styczeń.

Dla całej rodziny przesyłam życzenia szczęśliwego roku. Nie mogę wam wcale opowiedzieć, jak bardzo ucieszyłam się prezentami gwiazdkowemi, gdyż do samego wieczora nic nie nadeszło i straciłam na nadejście wszelką nadzieję. List wasz przyszedł już rano, ale nie wspomniałaś, mateczko, o przesyłce, chcąc mi, pewnie, zrobić niespodziankę. Byłam trochę rozczarowana, gdyż liczyłam, że o mnie nie zapomnicie. A gdy, po kolacji, przyniesiono mi do pokoju paczkę, to aż podskoczyłam z radości. Będę się pilnowała i nosiła trykoty, które mi przysyłasz, mateczko,i czytać uważnie książki, które tatuś oznaczył. Dziękuję za wszystko, wszystko!

Pisząc o książkach, przypomina mi się, że obfituję w nie, gdyż na Nowy Rok pan Bhaer podarował mi ślicznie oprawnego Szekspira. Podziękowałam mu, jak tylko umiałam. Nigdy nie wiedziałam, że Szekspir jest tak ciekawy, ale i nigdy nie miałam Bhaera, żeby mi objaśniał. Zadowolona jestem, że podoba się on wam z mego opisu i mam nadzieję, że go kiedyś poznacie.

Nie mając wiele pieniędzy, kupiłam mu parę drobiazgów i porozstawiałam w jego pokoju.

Urządzono tu maskaradę i bawiono się wesoło w wieczór sylwestrowy. Nie chciałam zejść na dół, gdyż nie miałam domina, ale w ostatniej chwili pani Kirke przypomniała sobie o swych starych brokatach, a panna Norton pożyczyła mi koronki i pióra, więc ubrałam się w to wszystko, włożyłam maskę i zeszłam.

Nikt mnie nie poznał, gdyż zmieniłam głos, a nikomu na myśl nawet nie wpadło, że poważna i cicha panna March może tańczyć i dokazywać. Bawiłam się świetnie. A gdyśmy zdjęli maski, to było tak komiczne, że wszyscy ze zdziwieniem patrzyli na mnie. Słyszałam, jak jeden młody człowiek mówił do drugiego, że byłam artystką kabaretową. Jest nawet pewien, że mnie zna z jednego z teatrzyków. Małgosia uśmieje się z tego kawału

Zawsze kochająca was Ludka.

---

## ROZDZIAŁ IX.

Mimo, że Ludka z zapałem poświęciła się pracy pedagogicznej i prawie cały dzień zajęta była dziećmi i krawiecczyzną, to jednakże wieczorem, i późno w nocy świeciło się światło w jej pokoju, a ona, sama w swym nieodstępnym fartuchu, siedziała przy minjaturowem biureczku i energicznym swym pismem zapełniała stronę po stronie swego wielkiego bruljonu. Cel jej był zwykły, postanowiła zdobyć pieniądze, i nie tylko dla siebie samej, ale przedewszystkiem dla tych, których kochała więcej niż siebie. Marzenie otoczenia najbliższych komfortem, danie Elizie wszystkiego, czego tylko zechce, możność pojechania samej zagranicę dla dalszego kształcenia się, i posiadania zawsze tyle, by móc sobie pozwolić na zbytek miłosierdzia, było dla Ludki od lat całych marzeniem i bodźcem do pracy. Środki, których użyła dla osiągnięcia nie były najlepsze: wzięła się do pisania sensacyjnych powieści, gdyż w tym czasie nawet światła Ameryka czytywała chętnie bezwartościowe, kryminalne powieścidła.

W wielkim sekrecie napisała wstrząsający dramat i zaniosła sama do pana Dashwood, wydawcy „Wulkanu Tygodnia“.

Ubrała się porządnie i starając się wmówić w siebie, że nie jest ani podniecona, ani zdenerwowana, odważnie wbiegła na drugie piętro po brudnych schodach i znalazła się w zaśmieconym pokoju, przepełnionym dymem od cygar. Siedziało w nim trzech mężczyzn, przyczem buty ich były wyżej poziomu kapeluszy.

Ludka zawahała się chwilę, poczem zapytała nieśmiało:

— Przepraszam panów. Czy to biuro „Wulkan Tygodnia“? Chciałabym widzieć się z panem Dashwood.

Najwyżej leżące buty opadły na ziemię, powstał mężczyzna, kręcąc w palcach swe cygaro.

Ludka wyjęła rękopis i czerwieniąc się coraz bardziej, w miarę jak mówiła, zaczęła wykształcać urywki przygotowanego w domu przemówienia.

— Moja przyjaciółka prosiła, abym zaofiarowała jej opowiadanie — taka sobie próba — chciałaby wiedzieć jakie jest państkie zdanie — pisałaby więcej, jeśli nadawałoby się do druku.

Pan Dashwood, wziął do ręki rękopis, i zaczął przewracać stronice brudnemi palcami, robiąc plamy na białych kartkach.

— Czy to pierwsza próba? — zapytał, widząc, że kartki są numerowane, że pismo jest tylko na

jednej stronie, a wszystko nie jest związane różową wstążeczką — znak początkujących.

— Nie, proszę pana. Ma już pewną praktykę, dostała nawet nagrodę za bajkę w „Blarneystone Post".

— Czyżby? — i pan Dashwood szybko spojrzał na Ludkę. — No tak, może pani to zostawić, mamy mnóstwo tego dobrego, ale przejrzę i to i dam pani znać.

Pan wydawca zrobił tak niemiłe wrażenie, że Ludka najchętniej zabrać pragnęłaby swą pracę i znaleźć się daleko od tego sympatycznego biura wydawniczego, ale praca jej leżała już na dnie szuflady biurka, nie pozostawało więc nic innego, jak skłonić się i wyjść.

— Nie pójdę już tam nigdy, niech się co chce dzieje — denerwowała się biedaczka, robiąc zawzięcie dziury w swym nieszczęśliwym literackim fartuchu, lecz po paru dniach postanowiła jednak dowiedzieć się o losach swej „pracy twórczej".

Gdy weszła do biura wydawniczego, zastała pana Dashwood samego. Był on w daleko lepszym humorze; nie tak zajęty bardzo swem cygarem, jak wtedy, a nawet zdjął kapelusz na powitanie — przez to druga wizyta była o wiele przyjemniejsza od pierwszej.

— Przyjmuję, jeśli się pani zgodzi na kilka zmian. Opowiadanie jest za długie — trzeba usunąć ustępy, które zakreśliłem czerwonym ołówkiem,

będzie wtenczas w sam raz — powiedział tonem urzędowym.

— Ale, proszę pana, myślałam, że każda historja powinna mieć jakiś morał i dlatego ją w ten sposób zakończyłam.

— Ludzie chcą się rozerwać, a nie słuchać morałów, rozumie pani. Morały nie popłacają już dzisiaj.

— Co pan — to znaczy — jakie wynagrodzenie — zaczęła Ludka, nie wiedząc, jak się wysłowić.

— Ach, tak — no dobrze, dajemy od dwudziestu pięciu do trzydziestu dolarów za rzeczy tego rodzaju, płatne po ukazaniu się drukiem — odpowiedział pan Dashwood.

— Dobrze, zgadzam się. Czy mam powiedzieć mej przyjaciółce, że pan przyjmie i inne opowiadanie, jeśli będą lepsze niż to? — zapytała jeszcze.

— Zobaczymy, nie mogę tego obiecać, Powiedzieć jej proszę, żeby pisała krótko i treściwie, nie zważając na morały. Opowiadanie ukaże się w przyszłym tygodniu. Czy zgłosi się pani po pieniądze, czy też mam je przesłać?

— Przyjdę sama. Dowidzenia panu!

— Dowidzenia.

Zachęcona powodzeniem i idąc za radami pana Dashwood, zagłębiła się Ludka w morzu sensacyjnej literatury, lecz na szczęście, dzięki opiece okazanej przez nowego przyjaciela, szybko wypłynęła na powierzchnię.

Pewnego wieczoru pan Bhaer zobaczył w jej pokoiku obrazek i biorąc go z odrazą w ręce rzekł.

— Należałoby nie wpuszczać do przyzwoitych domów czegoś podobnego, nie są to obrazki dla dzieci, ani literatura dla młodzieży. Nienawidzę tego.

Ludka ukradkiem rzuciła okiem na zeszyt.

— Boże, czy to nie Wulkan — pomyślała. Było to jakieś inne, chociaż pokrewne pismo.

— Nie podpisuję przecież swego nazwiska, więc czego się obawiam — pomyślała, lecz mimo to okryła się szkarłatnym rumieńcem.

To ją zdradziło.

Profesor, chociaż tak bardzo roztrzepany, zrozumiał, że Ludka robi coś, czego się wstydzi, i to go zmartwiło bardzo. Wiedział on, że Ludka pisze, spotykał ją często idącą do biur wydawniczych, i bardzo pragnął zawsze poznać jej rodzaj pracy.

— Takie to młode i biedne, daleko od miłości matki i opieki ojca, trzeba ją ratować — pomyślał, zbliżył się więc do Ludki i rzekł serdecznie.

— Nie trzeba takich pism prenumerować, wydaje się to dla przypodobania pewnym kategorjom ludzi, ale ja prędzej dałbym moim chopom proch do zabawy, niżli taką truciznę.

— Ależ profesorze, nie wszystkie opowiadania są aż trucizną, mogą być głupie, bez talentu nawet, a zresztą, jeśli jest zapotrzebowanie na nie, to nie widzę zła w dostarczaniu ich. Wielu uczciwych

ludzi żyje z tych, tak zwanych sensacyjnych powieści — odpowiedziała energicznie, marszcząc czoło.

— Na wódkę również jest zapotrzebowanie, ale myślę, że ani pani, ani ja, nie podejmowalibyśmy się jej fabrykować lub sprzedawać. Jeśliby uczciwi ludzie wiedzieli, jakie szkody tem wyrządzają społeczeństwu, nie twierdziliby, że żyją uczciwie. Nikt niema prawa zatruwać pokarmu i dawać je maluczkim. Nie! Ludzie tacy powinni namyśleć się trochę i raczej ulice zamiatać, niż takie rzeczy pisać.

Profesor Bhaer mówił z zapałem, poczem wziął ze stołu pisemko, podszedł do kominka i rzucił je w ogień.

— Chciałbym móc wszystkie inne tak spalić — rzekł.

— Może pójdziemy na naszą lekcję, profesorze? Będę teraz dobrą i uważną uczennicą.

— Mam tę nadzieję, — to było wszystko, co odpowiedział, ale myślał o tem więcej, niż się Ludce zdawało.

Gdy została sama w swym pokoju, wzięła zeszyty i poczęła uważnie je odczytywać. Profesor był krótkowidzem i używał czasem okularów. Ludka włożyła je raz, ciesząc się, że powiększały mały druczek książki. Teraz również zdawało jej się, że nosi okulary profesora i poprzez szkła patrzała na swe dzieła z punktu widzenia

profesora. I rzecz dziwna, — jej własne utwory napełniały ją odrazą.

— Trucizna, a niedługo będzie gorzej od trucizny, jeśli będę pisała nadal, gdyż każde opowiadanie jest więcej sensacyjne od poprzedniego.

Porwała cały stos papierów i bez namysłu rzuciła je w ogień.

Dzień po dniu płynął teraz Ludwice cicho i jednostajnie, zajęta wychowywaniem dziewczynek, starała się nie myśleć o panu Dashwood, ani o swych zmarnowanych pracach, lecz czasem tylko porywał ją gwałtowny smutek. Walka ze sobą trwała zwykle krótko bardzo i zawsze wychodziła z niej zwycięsko, rada, że nikt z jej otoczenia nie dostrzega jej przeżyć. Myliła się jednak, doświadczone oko przyjaciela czuwało nad nią i chociaż nie poruszano nigdy tego tematu, profesor wiedział dobrze, że Ludka zaprzestała pisywania swych powieści i rad był temu niezmiernie.

Zima była łagodna, ale długa, Ludka aż do czerwca pozostawała u pani Kirke, a gdy czas odjazdu nadszedł, wszyscy byli niepocieszeni, dzieci płakały, a rozwichrzona czupryna pana Bhaera sterczała okropnie, a łagodny zwykle uśmiech znikł z jego twarzy.

Wobec tego, że wyjeżdżała nad ranem, pożegnać chciała całe towarzystwo już poprzedniego wieczoru. Gdy nadeszła kolej na profesora, rzekła mu gorąco:

— Pan nie zapomni o mnie, prawda? Proszę przyjechać do nas, tak bardzo pragnę, aby moi najdrożsi poznali mego przyjaciela.

— Czy rzeczywiście mam przyjechać? — zapytał, patrząc na nią wzrokiem pełnym miłości.

— Nie zauważyła tego spojrzenia.

— Naturalnie, proszę przyjechać w końcu tego miesiąca, Teodorek dostanie już dyplom, a pan weźmie udział wraz z nami w tej uroczystości.

— Czy to pani najlepszy przyjaciel?

— O tak, to mój kochany chłopiec, z którego dumną jestem — odparła spokojnie — chciałabym bardzo, by go pan profesor poznał.

Wyraz twarzy pana Bhaera zmienił się raptownie.

— Boże — pomyślała — on pewnie przypuszcza, że między mną, a Teodorkiem jest coś więcej nad przyjaźń i jak mu to wytłumaczyć.

Spojrzała na niego serdecznie i nagle zapłoniła się cała.

Profesor Bhaer mylnie zrozumiał powód rumieńca, skłonił się więc przed nią i rzekł urzędowym tonem.

— Nie wiem, czy będę mógł pozwolić sobie na odwiedziny państwa, ale życzę pani przyjacielowi powodzenia, a pani dużo szczęścia. Niech Bóg panią ma w swej opiece — rzekł szybko, uścisnął jej rękę i oddalił się.

Nazajutrz jednak, mimo bardzo wczesnej godziny, przyszedł na stację, aby zobaczyć raz jeszcze Ludkę. Podziękowała mu serdecznie za pamięć i bukiecik fijołków, a gdy pociąg ruszył, powiewając chusteczką pomyślała.

— Nie napisałam ani jednej książki i nie zdobyłam pieniędzy, ale mam teraz przyjaciela, którego nie wolno mi utracić nigdy.

---

## ROZDZIAŁ X.

Dzień tryumfu Teodorka. Wszyscy stawili się na popisie. Starszy pan Lawrence, Małgosia, Ludka, Eliza, obydwoje państwo March i młody pan Jan Brookie. Powinszowaniom nie było końca.

— Muszę jeszcze pozostać na tem przeklętym obiedzie, ale jutro raniutko już wracam, przyjdziecie dziewczęta, prawda? — prosił Teodorek, sadzając panie do powozu.

— Przyjdę bez względu na pogodę, śpiewając pieśń tryumfalną — rzekła Ludka serdecznie, ściskając mu rękę.

Teodorek podziękował jej spojrzeniem tak czułem, że aż zmieszała się, myśląc ze strachem, — Boże, co ja mu powiem, co począć z tym biednym chłopcem?

Ludka wiedziała już od mateczki, że obawy jej co do Elizy nie były słuszne; powodem ciągłego smutku biednego dziewczątka był stan jej zdrowia, systematycznie pogarszający się, a nie miłość do Teodorka. Jednakże była zdecydowana zupełnie nie przyjąć jego oświadczyn. Po przyjeździe swym parokrotnie analizowała swe uczucia i doszła osta-

tecznie do wniosku, że poza wielką, serdeczną przyjaźnią, nie czuje nic więcej do przyjaciela lat dziecinnych. Bała się tylko rozmowy tej z Teodorkiem, i teraz czekając na niego u Małgosi, zastanawiała się głęboko, jak mu to wszystko powiedzieć. To też ujrzawszy barczystą postać, zdążającą jej na spotkanie, miała niekłamaną ochotę ratować się ucieczką.

— No, co z hymnem tryumfalnym? — pytał śmiejąc się.

— Zapomniałam o nim.

Ludka czuła się pokrzepioną na duchu, gdyż żartobliwy ton Teodorka nie zapowiadał sentymentalnych rozmów.

Gawędzili swobodnie, przeskakując z tematu na temat, aż dopóki nie zeszli z szosy, skracając sobie drogę przez łączkę i lasek. Wtedy Teodorek zwolnił kroku i od czasu do czasu w rozmowie powstała krótka, lecz dla naszej bohaterki straszna przerwa.

— No, teraz należą ci się chłopcze długie i wesołe wakacje...

— Tak, mam zamiar....

Ludka szybko spojrzała na niego. Tragiczny moment nadszedł, nie mogło być żadnej wątpliwości co do tego. Przerażona schwyciła go za rękę i błagalnie wyszeptała.

— Teodorku, nie, proszę cię, nie mów, nie, teraz.

— Będę mówił i musisz raz wreszcie mnie wysłuchać. Tak dalej być nie może, musimy wypowie-

dzieć się, a czem wcześniej, tym lepiej dla nas obydwojga — odparł, a głos jego drżał ze zdenerwowania.

— Więc mów, słucham.

Ludka też była szalenie zdenerwowana.

Teodorek był konsekwentny, postanowiwszy wypowiedzieć się, zaczął mówić z charakteryzującą go stanowczością, prędko i porywczo.

— Kochałem cię zawsze, prawie od chwili poznania, wiesz o tem dobrze Ludko, nigdy nie pozwoliłaś mi się jednak z tego szczerze wypowiedzieć. Dlaczego?

— Chciała... pragnęłam ci zaoszczędzić... myślałam że zrozumiesz — zaczęła, jąkając się Ludka, czując, że przejście to będzie trudniejsze dla niej, nawet, niż przypuszczała.

— Kobiety są takie niezdecydowane, że nigdy nie wiadomo jest, czego naprawdę pragną — odparł spokojnie.

— Nie należę do tych. Nie chciałam, abyś mnie kochał, wyjechałam nawet dlatego, aby cię od tego uchronić — brzmiała cicha odpowiedź.

— Wiedziałem o tem, to do ciebie podobne, ale bezcelowe. Pokochałem cię jeszcze więcej i pracowałem jak koń, aby ci się spodobać, przestałem nawet grać w bilard, nie palę papierosów, nie robię niczego, czego nie lubisz, wciąż czekałem tylko na ciebie, pełen nadziei, że mnie wreszcie pokochasz, chociaż wiem, że niegodny jestem ciebie.

Ostatnie słowa wypowiedziane były szeptem, widać było, że biedny chłopiec cierpi bardzo.

— Teodorku, jak można? Jesteś godny mnie, za godny nawet, jestem ci szalenie wdzięczna, dumna ze swego przyjaciela i naprawdę bardzo cię kocham, ale tak po przyjacielsku. Nie wiem dlaczego nie kocham cię inaczej, chciałam, zdawało mi się, ale teraz wiem, że nie, nie jest to miłość Małgosi do Janka, a tylko serdeczna przyjaźń.

— Czy jesteś tego pewną?

— Tak, jestem tego zupełnie pewną, mój drogi chłopcze.

Byli już w lesie, otoczeni gąszczem krzewów. Teodorek odruchowo odskoczył, lecz uderzywszy głową o gałąź, upadł, zanurzywszy głowę w miękkie mchy, leżał nieruchomo, widać było, że z trudem powstrzymuje się od łez.

— Teodorku, kochany, tak mi jest strasznie przykro. Oddałabym swe życie, gdybym wiedziała, że to pomoże. Nie bierz tego tak tragicznie. Co mam zrobić, nie mogę poradzić temu, czy można kazać kochać, mówiła nerwowo, głaszcząc go po głowie.

— Czasem to jest możliwe — doszedł ją stłumiony głos.

— Nie, nie wierzę temu. Ładna taka miłość — wolę jej nie próbować — brzmiała decydująca odpowiedź.

Nastała długa cisza.

— Teodorku, chcę ci coś powiedzieć — zaczęła Ludka.

Zerwał się jak oparzony i zawołał podniesionym głosem.

— Nie mów mi tego, nie, nie zniosę tego.

— Czego ci nie mam mówić — zapytała ze zdziwieniem.

— ...Że kochasz tego starego człowieka.

— Jakiego znów starego człowieka? — zapytała, sądząc, że ma na myśli swego dziadka.

— Tego profesora, o którym ciągle pisałaś. Jeśli powiesz, że go kochasz, zobaczysz, zrobię jakieś głupstwo.

Wyglądał, jakby miał słowa dotrzymać, wykręcał sobie dłonie i miał jakiś wściekły błysk w oczach.

W pierwszej chwili chciała się roześmiać serdecznie, ale powstała z miejsca i rzekła spokojnie.

— Proszę cię, uspokój się Teodorku. On nie jest ani stary, ani zły, to mój najlepszy, po tobie, przyjaciel. Chcę być dobra i serdeczna dla Ciebie, ale czuję, że stanę się zła jak osa, jeśli będziesz obrażał mego profesora. Zapewnić cię tylko mogę, że nie myślę o miłości i nie kocham ani jego, ani nikogo innego.

— Ale pokochasz, a co się wtedy ze mną stanie?

— Ty pokochasz także kogoś i śmiać się będziesz ze swego obecnego zmartwienia.

— Nie, ja ciebie nigdy nie zapomnę, nigdy, nigdy!

Co z nim począć — myślała Ludka, czując, że coraz trudniej wybrnąć z tej trudnej sytuacji.

— Nie wysłuchałeś mnie wcale, siadaj spokojnie i wiedz, że chcę tylko twego dobra, zaczęła profesorskim tonem.

Biedny Teodorek, wierzył jeszcze w szczęśliwe zakończenie, usadowił się koło niej i patrzał na nią wyczekująco.

— Widzisz, mama też uważa, że nie jesteśmy dla siebie stworzeni, gdyż nasze łatwo zapalające się usposobienia i uparte charaktery uczyniłyby z nas dwoje nieszczęśliwych, gdybyśmy to szaleństwo zrobili...

Ludka zatrzymała się na chwilę, lecz Teodorek przerwał gwałtownie.

— ...I pobrali się. Nie Ludko, nie bylibyśmy nieszczęśliwi, gdybyś ty pokochać mnie chciała... ja... byłbym prawdziwie święty, gdyż ty możesz ze mnie zrobić, co tylko zechcesz.

— Nie, nie, Teodorku, nieprawda. Starałam się o to i nie udało się i nie chcę ryzykować. To zbyt szalony eksperyment. Nasze usposobienia nie zgadzają się i nigdy się nie zgodzą ze sobą, możemy być zawsze doskonałymi przyjaciółmi, ale nigdy niczem więcej. A teraz bądź rozsądny i spójrz na to wszystko objektywnie — prosiła gorąco.

— Nie będę rozsądny, ani objektywny. Nie chcę, rozumiesz — wołał — ale ty niedobra dziewczyno, chyba nie masz wcale serca.

— Chciałabym go nie mieć.

Głos Ludki zadrgał, a biorąc to za dobry znak, Teodorek rozpoczął atak.

— Droga, nie rób nam wszystkim tak wielkiej krzywdy. Dziadek tak się cieszy, a i twojej rodzinie podoba się nasz związek, a ja naprawdę nie mogę żyć bez ciebie, powiedz tylko, że się zgadzasz, a będziemy wszyscy szczęśliwi. Powiedz najdroższa, błagam!

— Nie, nie mogę naprawdę, nie mogę. Jeśli nie mam powiedzieć mego „tak“ z przekonaniem, to nie wolno mi go wypowiedzieć. Zobaczysz, że mam rację i jeszcze mi kiedyś podziękujesz — zaczęła uroczyście.

— Wcześniej się powieszę — wykrzyknął oburzony, na jej zatwardziałe serce i rzucił się znowu na murawę.

— Przekonasz się — upierała się Ludka — uspokoisz się, poznasz jakąś śliczną pannę, która będzie wytworną damą w twym eleganckim domu. Ja zupełnie się tam nie nadaję, jestem prosta, uparta i stara już, wstydziłbyś się mnie później. Kłócilibyśmy się ciągle, patrz nawet teraz sprzeczamy się ze sobą. Nie lubiłabym twoich eleganckich przyjaciół, nie umiałabym przyjmować i bywać. Wiem, że znienawidziłbyś tę moją wieczną bazgraninę, bez której znowu nie umiałabym żyć. No i jednem słowem, bylibyśmy nieszczęśliwi i przeklinalibyśmy obydwoje ten warjacki pomysł naszego małżeństwa. I to byłoby straszne!

— Czy to już wszystko? — zapytał ironicznie.

— Prawie wszystko, lecz jeszcze chciałabym dodać, że prawie pewną jestem, że wogóle nie wyjdę zamąż. Jest mi tak bardzo dobrze, cenię swoją wolność i niezależność za bardzo, aby ją oddać jakiemuś śmiertelnikowi.

— Wierzę, że w tej chwili tak myślisz, ale pewny jestem, że pokochasz niezadługo kogoś, a wtenczas będziesz idealną towarzyszką i wierną żoną, a ja, co wtenczas. Będę się musiał przyglądać temu?

— Teodorku, bądźżesz mężczyzną — zawołała, tracąc już cierpliwość. — To jest egoizm, wymagać odemnie tego, czego ci dać nie mogę. Będę cię lubiła zawsze, nawet kochała, ale tylko jak brata i przyjaciela — ale nigdy nie wyjdę za ciebie. Im prędzej uwierzysz w to, tem lepiej dla nas obydwojga.

— Pożałujesz tego — odparł poważnie, a twarz jego była zupełnie biała.

— Teodorku, dokąd idziesz — krzyknęła, przerażona jego wyglądem.

— Do djabła — brzmiała pocieszająca odpowiedź.

Na sekundę serce Ludki bić przestało, gdy Teodorek zbiegał na dół ku rzece, lecz na szczęście nie miał on samobójczych zamiarów, i wskoczywszy do łodzi, odbił się z całą siłą od brzegu.

Odetchnęła z ulgą.

To mu dobrze zrobi i do domu wróci spokojny. Biedny, kochany chłopiec, żeby tylko nie cierpiał — rzekła do siebie. Tak, teraz biegnę do starszego pana Laurence, żeby mu wszystko powiedzieć, musi być on specjalnie dobry i czuły dla Teodorka, jak ten do domu przyjdzie.

Gdy późnym wieczorem powrócił do domu śmiertelnie zmęczony, ale spokojny zupełnie, dziadek przywitał go tak, jakby o niczem nie wiedział.

Siedzieli w małym saloniku, oświetleni blaskiem księżyca i gawędzili o różnych drobiazgach, a myśli ich dalekie były od tematu rozmowy. Parę chwil ciszy, i Teodorek podszedł do pianina i zaczął grać . Okna otwarte na rozcież, w ogródku swym Ludka z biciem serca słuchała. Teodorek grał Sonatę Patetyczną, a grał ją jak nigdy dotąd.

— Piękna rzecz, ale bardzo smutna, zagraj coś weselszego chłopcze — poprosił pan Laurence, który całym wysiłkiem woli panował nad nerwami, aby wnuk nie zauważył jego zdenerwowania.

Muzyka urwała się akordem. Zapanowało głębokie milczenie.

— Nie, nie mogę dłużej — wyszeptał stary pan, kładąc delikatnie rękę na ramieniu Teodorka. — Kochany chłopaku mój, zapanuj nad sobą, bądź mężczyzną, mnie samemu tak bardzo jest przykro...

—Kto dziadkowi powiedział?

—Ludka.

— Tak, wszystko skończone i odsunął niecierpliwie, okalającą go pieszczotliwie, rękę.

— Teodorku, chcę ci coś zaproponować... — zaczął łagodnie pan Laurence. Nie zależy ci chyba na tem, aby pozostawać teraz w domu...

— Nie będę uciekał przed dziewczyną, Ludka nie może mi zabronić, bym tutaj był, patrzał na nią i bywał u nich, i właśnie zostanę, dopóki mi się to będzie podobało — przerwał dumnie.

— Nie, chłopcze, jeśli jesteś dżentelmenem, a nie wątpię że nim jesteś, wyjedziesz. Wierzaj mi chłopcze, że sam jestem prawdziwie zasmucony, że tak się właśnie stało, ale trzeba pomyśleć i o biednej Ludce i o jej nerwach. Wyjedziesz chłopcze na pewien czas. Dokąd byś pragnął jechać?

— Wszystko mi jedno, może mnie dziadek wyprawić i do Honolulu, jeśli wam tak na tem zależy i Teodorek wybuchnął jakimś nerwowym śmiechem, który zaniepokoił mocno starszego pana.

— No Teodorku, przyjmij to jak prawdziwy i dorosły mężczyzna. Na litość boską, nie rób nic nierozważnego. Dlaczego nie jechać do Europy, przypomnij, jakeś sam tego pragnął.

— Nie chcę!

— A jednak chciałeś i prosiłeś mnie nawet o pozwolenie.

— Nie myślałem nigdy, że wyjadę sam, nie, stanowczo nie jadę.

— Któż mówi, że pojedziesz sam, czy nie wiesz, że jest ktoś, kto cię nie opuści w smutku i gotów

wyruszyć z tobą w podróż naokoło świata, mimo swej siwizny i...

— Dziadku najdroższy — i Teodorek padł mu w ramiona, szlochając jak małe dziecko.

— Chłopaku mój, Bóg mi świadkiem, jak bardzo cię rozumiem, i ja przeszedłem przez to, za moich młodych lat, no, ale teraz głowa do góry, ot siadajmy spokojnie i naradzimy się zaraz nad tem co czynić.

— A więc słucham dziadziu?

— Mam pewne poważne sprawy handlowe w Londynie, chciałem nawet, abyś wyręczył mnie ale właściwie załatwię to sam. Jan Brookie zastąpi mnie tutaj doskonale i wyruszymy i to jaknajprędzej.

— Ależ, ty nie znosisz podróży dziadziu, nie mogę tego wymagać, byś w tym wieku...

Teodorek wdzięczny był niezmiernie dziadkowi, ale w grucie rzeczy, jeśli już miał jechać, to wolał wyruszyć sam.

Pan Laurence domyślał się tego, ale właśnie rozumiał, że puszczać go obecnie samego, byłoby w najwyższym stopniu nierozumnem.

— Do kroćset — rzekł niby srodze rozgniewany — nie jestem przecież trzęsącym się starcem, ani niedołęgą jakimś. Przeciwnie, zobaczysz jak się w drodze bawić będziemy, pewny jestem, że podróż dobrze mi nawet zrobi.

— Jak dziadzio chce, mnie tam wszystko jedno co mam robić i dokąd jechać.

— A mnie tam nie — pamiętaj o tem mój chłopcze. Możesz być pewny jednak, że cię nie będę krępował, daję ci całkowitą swobodę, i wierzę, że ją pożytecznie wykorzystasz. Przyrzeknij mi to Teodorku.

— Ależ obiecuję ci dziadziu, zgadzam się na wszystko.

— Doskonale — pomyślał pan Laurence — teraz jest mu wszystko obojętne, ale przyjdzie chwila, że go ta obietnica przytrzyma w szachu.

Będąc człowiekiem energicznym, kuł pan Laurence żelazo póki gorące i zanim duch przekory lub buntu wziął górę w chłopcu. Pojechali.

Gdy nadeszła chwila odjazdu, Teodorek był nienaturalnie wesoły, wszyscy robili też humor, śmiano się, dowcipkowano, ale gdy pani March przygarnęła go do siebie i jak matka ucałowała tkliwie, nie wytrzymał, przytulił się do niej i cicho zapłakał, poczem szybko pocałował wszystkich, nie zapominając o starej Hannie, która głośno zawodziła, i wbiegł na stopnie wagonu.

Ludka szła za nim, chcąc mu jeszcze jakieś dobre przyjacielskie słowo powiedzieć, gdy Teodorek raptownie odwrócił się, podbiegł do niej i biorąc jej rękę w swe zimne dłonie, drżącym głosem zapytał.

— Czy nic mi nie masz do powiedzenia?

— Teodorku najdroższy, tak bardzo chciałabym...

To było wszystko, dłuższa chwila milczenia, potem Teodorek wyprostował się.

— W porządku — rzekł i oddalił się bez pożegnania.

Ale Ludka wiedziała, że to nie było w porządku, i gdy w sekundę później spotkały się ich spojrzenia, zrozumiała, że jej serdeczny przyjaciel, jej Teodorek już nigdy do niej nie powróci.

---

## ROZDZIAŁ XI.

W godzinach poobiednich, tak około czwartej do piątej po południu, cały wytworny świat w Nicei pozwala oglądać się na plantach nadmorskich „Promenade des Anglais. Pięknie tam jest. Palmy, cudowne kobierce kwiatów, z jednej strony widok na błękitne, lazurowe morze, z drugiej na wytworne wille i piękne hotele. Zdala wzgórza, a na nich pomarańczowe sady. Wszelkie narodowości są tutaj silnie reprezentowane, słychać więc rozmowy we wszelkich językach, widać najróżnorodniejsze stroje

Pewnego dnia, w święto Bożego Narodzenia, wysoki, barczysty młody człowiek szedł wolno wzdłuż wybrzeża z rękoma w tył założonemi, z pewną nonszalancją w całem zachowaniu. Wyglądał na Amerykanina. Nie zwracał prawie żadnej uwagi, na przyglądające mu się młode, eleganckie panie, nie pociągało go też piękno natury. Na rogu przystanął, jakby niezdecydowany, czy iść posłuchać koncertu w ogrodzie, czy też włóczyć się nadal wzdłuż wybrzeża, aż do wzgórza zamkowego. Stuk kopyt końskich pociągnął jego uwagę: maleńki po-

wozik, a w nim samotne młode dziewczę w niebieskiej jedwabnej sukience. Zawahał się chwilę, poczem na twarz jego wybiegł wesoły uśmiech i powiewając kapeluszem jak mały, niesforny chłopiec, wbiegł na stopnie powoziku.

— Teodorek! Boże, jakie szczęście, myślałam że już nigdy nie przyjedziesz. Ty niedobry chłopcze — krzyknęła Amelka, wstrzymując konia i podając mu obydwie ręce.

— Musiałem się zatrzymać w drodze. Obiecałem ci, że spędzę wraz z tobą święta i jestem.

— Jak się czuje dziadzio? Kiedy przyjechałeś? Gdzie stanąłeś? — posypały się pytania.

— Doskonale, — wczoraj wieczorem — w hotelu Chanvain. Byłem już u was, ale nikogo nie zastałem...

— Boże, co ja mam do opowiadania, ale od czego zacząć, siadaj, pojedziemy tam daleko i nagadamy się do syta. Sama wyjechałam na spacer, gdyż Stokrotka wypoczywa, chce ładnie wyglądać wieczorem.

— Co to, bal macie dzisiaj?

— Wieczór Bożego Narodzenia. W naszym pensjonacie mieszka wielu amerykanów i oni to są inicjatorami dzisiejszego balu. Przyjdziesz naturalnie, Boże jak się ciotka cieszy.

— Przyjdę. Dokąd chcesz teraz jechać — pytał, biorąc w ręce swe, lejce.

— Naprzód na pocztę po listy, później na spacer, można na wzgórza zamkowe. Ale teraz opowiadaj o sobie. Ostatnio byłeś podobno w Berlinie?

— Tak, spędziłem tam parę tygodni, potem spotkałem się z dziadkiem w Paryżu, ma on wielu przyjaciół, doskonale się czuje i pozostanie prawdopodobnie przez całą zimę. Ja zaś będę dojeżdżał do niego. Pyszny stary, doskonale się ze sobą zgadzamy.

— Ale ty jakoś dziwnie wyglądasz, nie wiem, ale jakoś inaczej jak w domu — rzekła Amelka, przyglądając się mu bacznie.

— Zdaje ci się, Dziadek nie lubi podróżować — rzekł, zmieniając temat, ja zaś ani rusz, nie mogę usiedzieć na miejscu. Każdy więc robi tak jak chce i między nami jest idealna zgoda. Gdy wracam do niego, opowiadam mu o wszystkiem, jak towarzyszowi, i to mu się bardzo podoba, ja znowu rad jestem, gdy widzę, jak cieszy go każdy mój przyjazd.

Na poczcie Amelka odebrała listy z domu i zaczęła je odczytywać, a powozik ich mknął wśród szpalerów cudnych róż.

— Boże mój, Eliza znowu czuje się gorzej. Ciągle myślę, że powinnam być teraz w domu, ale oni wszyscy piszą mi ciągle „zostań“, więc nie jadę, gdyż chyba nigdy w życiu nie zdarzy mi się taka okazja — powiedziała Amelka, spoglądając ze smutkiem na list.

— Nie powinnaś wracać. Nie mogłabyś im w niczem pomóc, a ich cieszy tak bardzo myśl, że się czujesz szczęśliwą i tak się dobrze bawisz.

Zaśmiała się uradowana i pokazała mu szkic Ludki, zrobiony bardzo trafnie, w jej małym notatniku. Teodorek wyrwał tę kartkę i schował do kieszeni na pamiątkę i słuchał z zainteresowaniem listu, który mu głośno odczytywała.

— Będą to prawdziwie udane święta, podarunki rano, ty i listy po obiedzie i bal wieczorem — zawołała uradowana, gdy znaleźli się wśród ruin starego zamczyska.

— Czy wyobrażasz sobie, co wykrzykiwałaby Ludka, gdyby tu z nami była?

— Tak — brzmiała krótka odpowiedź.

— No, Teodorku, opowiadaj o sobie wszystko, wszystko, tak dawno już jak wyjechałam z domu.

Ale Teodorek nie był skłonny do zwierzeń. Opowiadał krótko i zwięźle na wszystkie zadawane pytania. Dowiedziała się, że objechał cały kontynent i był w Grecji nawet. Po godzinie pojechali do domu. Teodorek złożył uszanowanie ciotce Karoli, i obiecał przyjść wieczorem.

— Muszę dzisiaj ładnie wyglądać, aby Teodorek pochwalił mnie w domu — pomyślała Amelka, kładąc białą, prześliczną jedwabną sukienkę, pokrytą gazą, z pod której jej białe ramiona i złote włosy uwydatniały się bardzo korzystnie.

— Ten nowy wachlarz i prawdziwe koronki cioci dodają mi uroku, ach gdyby tylko ten mój nie-

szczęsny nos chciał być bardziej klasyczny — myślała ze smutkiem, oglądając się ze wszystkich stron w lustrze.

Wyglądała rzeczywiście niezwykle ładnie, gdy tak powoli schodziła po marmurowych schodach na dół do sali balowej. Przemierzała salonik tam i z powrotem, czekając na Teodorka; wreszcie przystanęła w rogu i zamyśliła się czegoś tak bardzo, że nie spostrzegła nawet Teodorka, który chwil parę stał i patrzał z przyjemnością na młode dziewczę, które w swej białej sukience na tle czerwonej portjery wyglądało jak śliczny posążek.

— Dobry wieczór Djano — przywitał, patrząc na nią z prawdziwym zachwytem.

— Dobry wieczór Apollo — odparła z uśmiechem.

— Oto kwiaty, które własnoręcznie wybierałem.

— Kochany, jak to miło z twej strony — wykrzyknęła z wdzięcznością.

Całe towarzystwo, zamieszkujące pensjonat zebrało się w wielkiej jedalni. Gościnni amerykanie zaprosili mnóstwo osób, wśród których nie brakło i arystokracji.

Każda młoda niewiasta z łatwością zrozumie, co się działo w duszy Amelki, gdy oparta na ramieniu Teodorka weszła na salę. Wiedziała, że wygląda ładnie, przepadała za tańcem i czuła na sobie zachwycone spojrzenia panów, którzy śpieszyli ją powitać.

Pierwsze tony modnego walca — Amelka zaczerwieniła się, oczy jej gorzały, a nóżki obute w piękne srebrne pantofelki, zaczęły wybijać w takt. Tańczyła świetnie i rada była że Teodorek podziwiać ją będzie.

— Czy chcesz zatańczyć — zapytał.

— Przyszłam przecież na bal.

— Myślałem o pierwszym tańcu, czy mogę mieć ten zaszczyt...

— Mogłabym zatańczyć z tobą, ale musiałabym odmówić hrabiemu, który mnie już od tygodnia o niego prosił, tańczy on bosko, ale będzie musiał mi wybaczyć, bo przecież jesteś moim starym przyjacielem — dowodziła Amelka, przekonana, że uszczęśliwi i wzruszy Teodorka wielką wspaniałomyślnością.

Zdziwiła się też niezmiernie, gdy odparł ze spokojem.

— Nie powinnaś być dla niego niegrzeczną, ja zatańczę ze Stokrotką.

Tańcząc prawie ciągle z hrabią, Amelka myślała jednak o Teodorku i gdy jej tancerz pożegnał ją, zapewniając że jest zrozpaczony, że musi już bal opuścić — odetchnęła z ulgą i pobiegła szukać Teodorka.

Siedział poważny, nie biorąc udziału w ogólnej zabawie. Spojrzał jej w oczy, ustępując swego miejsca i poszedł do bufetu by jej przynieść lodów. Amelka pomyślała z radością, że jednak jej

stary przyjaciel jest trochę zły na nią i sprawiło jej to niewypowiedzianą radość.

— Gdzieś się nauczyła tego wszystkiego? — zapytał.

— Określenie „to wszystko“ jest szerokie, lecz mocno niedokładne, może zechcesz jaśniej sformułować pytanie — zaśmiała się.

— No, wogóle, styl, sposób zachowania się, manjery...

— Boże, życie zagranicą jest dobrą szkołą, a ja gram swą rolę bogatej panny, jak umiem najlepiej. Czy myślisz, że moja sukienka jest kosztowna, przerobiłam ją sobie ze starej sukienki Stokrotki, a koronki dostałam od ciotki, pantofle posrebrzyłam sobie sama, Boże, poco ci to wszystko mówią i Amelka zaczerwieniła się mocno.

Teodorka zachwyciła jej szczerość, popatrzył na nią czule, zapełnił jej karnecik swym nazwiskiem, poświęcając jej resztę wieczoru. Otoczoni obcymi, poczuli się dla siebie bliskimi i tańcząc i gawędząc naprzemian, zapomnieli o wszystkiem i wszystkich.

---

## ROZDZIAŁ XII.

Teodorek Laurence przyjechał do Niceji na dni osiem do dziewięciu, bawił tam już miesiąc i jakoś nie chciało mu się myśleć o wyjeździe. Znudziły mu się samotne wędrówki, a towarzystwo Amelki stawało się dla niego coraz milsze i coraz trudniej było myśleć o rozłące. Ona też budziła się każdego ranka pełna radości, że zobaczy przyjaciela. Spędzali dnie całe razem. Była mu nieskończenie wdzięczną za rozrywki i przyjemności, o których bezustannie myślał, i odpłacała mu się małemi przysługami i kobiecą troskliwością, a robiła to z niewypowiedzianym wdziękiem.

— Wszyscy pojechali dziś do Monte Carlo; wolałam zostać w domu i pisać listy. Właśnie skończyłam i chcę pojechać do Valrosy trochę poszkicować; pojedziesz ze mną? — zapytała Amelka, spotykając Teodorka pewnego pięknego południa.

— Z chęcią. Ale czy nie jest za gorąco na taki spacer? — odpowiedział powoli, gdyż chłodny pokój zdawał się być rajem w tym skwarze.

— Jadę powozikiem, lejcami sama się zajmę, więc nie pozostaje ci nic innego, jak trzymać pa-

rasol i rękawiczki — odpowiedziała Amelka, uśmiechając się ironicznie.

— W takim razie zgoda — i Teodorek sięgnął po szkicownik.

— Nie, nie trudź się, sama będę go nosić.

Zmarszczył brwi i poszedł za nią. Ale gdy wsiedli do powozu, Teodorek ujął lejce i pojechali. Spacer był piękny. Valrosa — Dolina Róż — zasłużone miała imię: dzięki cudownemu klimatowi róże kwitły tam przez okrągły rok. Pokrywały ściany willi, obkręcały się wokoło balustrad i sięgały aż do wysoko położonego tarasu, z którego jak na dłoni roztaczał się widok na cichy błękit morza.

— Tu jest istny raj, tutaj siedziałabym rok cały, czy nie powinni artyści tylko tutaj spędzać miodowe miesiące — wołała zachwycona Amelka.

— Czyś widział już kiedyś tak wspaniałe róże? — pytała, rozkoszując się widokiem z tarasu.

— Nie, ani takich róż, ani takich kolców — odrzekł Teodorek, trzymając w ustach skaleczony palec, po nieudanej próbie zerwania wspaniałego, czerwonego kwiatu.

— Niżej, rosną bez kolców, patrz, — mówiła Amelka, zrywając trzy kremowe róże.

Wpięła je do klapy Teodorka, jakby pokój mu ofiarowując, a on stał nieporuszenie, dziwnie jakoś na nią spoglądając.

— Teodorku, kiedy wyjeżdżasz z powrotem do dziadka?

— Bardzo niedługo!

— Eh, powiedziałeś to już ze sto razy w ciągu ostatnich trzech tygodni.

— Przyznaję, ale krótkie odpowiedzi zaoszczędzają kłopotów.

— Co będziesz teraz robił?

— Obserwował jaszczurki.

— Ależ nie! Co masz zamiar i chęć robić?

— Zapalić papierosa, jeśli pozwolisz.

— Jesteś impertynentem. Nie pochwalam palenia, i pozwolę ci tylko pod tym warunkiem, że dasz mi się naszkicować. Niezbędne to dla mnie.

— Z największą przyjemnością. Jakbyś chciała? en face, czy też trzy czwarte, profil, czy na nogach, czy na głowie. Przyjmują wszystko z góry, narysujesz mnie, potem siebie samą i nazwiesz szkic „Dolce far niente".

— Usadow się jak chcesz, możesz nawet spać. Mam zamiar poważnie pracować — powiedziała energicznie Amelka.

— Entuzjazm cuda tworzy — krzyknął Teodorek, sadowiąc się wygodnie na trawie.

— Coby to nasza Ludka powiedziała, gdyby cię w tej pozie zobaczyła — reześmiała się Emilka.

— O, jak zwykle: „Idź sobie Teodorku, widzisz że jestem zajęta" — mówiąc to roześmiał się, ale śmiech jego nie brzmiał szczerze i cień smutku przeszedł po jego ruchliwej twarzy, gdyż imię Ludki rozdrapało jego bliznę, która nie była jeszcze zagojoną.

Amelkę zastanowił wyraz bólu na twarzy Teodorka, lecz ten prędko zapanował nad sobą i przybrał zwykły, obojętny i znudzony wyraz twarzy.

— Wyglądasz jak młody rycerz śpiący w grobie — zaczęła żartobliwie Amelka, rysując starannie profil chłopca, ładnie odbijający się na ciemnem tle zieleni.

— Chciałbym nim być.

— Bardzo niedorzeczne życzenie... Chyba, że od życia już niczego nie żądasz...

— Zmieniłeś się bardzo, tak, bardzo się zmieniłeś i wydaje mi się... zatrzymała się, spoglądając badawczo na niego.

Zrozumiał jej obawy, spojrzenie jej więcej mówiło, niż niedokończone zdanie. Spojrzał jej prosto w oczy i odrzekł, jak to zwykł był mówić do pani March.

— Wszystko już w porządku pszę Pa..a..ni.

— Cieszy mnie to, że nie jesteś złym chłopcem. Myślałam, żeś może przegrał dużo w Baden-Baden, zakochałeś się w jakiejś ładnej francuzeczce, lub żeś się wplątał w jakieś kłopoty, które młodzi ludzie uważają za nieodłączną część podróży. Chodź tu, nie siedź na słońcu, połóż się na trawie i „bądźmy przyjaciółmi“, jak mawiała Ludka, gdyśmy siadali na jabłoni, aby opowiadać sobie tajemnice.

Teodorek posłusznie położył się, zabawiając się zrywaniem stokrotek.

— Gotów jestem! — i spojrzał na nią z zainteresowaniem.

— Ja nie mam nic do opowiadania. Ty zacznij.

— Będę zadawał ci pytania. Mogę?

— Nie obiecuję odpowiadać!

—To nie szkodzi. Oczy odpowiedzą, gdy usta milczeć będą. Nie jesteś dostatecznie wyrobioną światową damą, aby ukryć twe uczucia, kochanie. Słyszałem coś w zeszłym roku o tobie i o Fredzie. Wydaje mi się, że gdyby nagle nie wezwano go do domu i nie przetrzymywano tak długo, stałoby się coś, he? Ale mam nadzieję, że nie jesteś zaręczona? — i Teodorek spojrzał na nią wzrokiem starszego brata i opiekuna.

— Nie!

— Ale będziesz, gdy on wróci i ładnie uklęknie, prawda?

— Bardzo możliwe!

— A więc zakochana jesteś w Fredzie?

— Mogłabym być, gdybym chciała.

— Ale nie masz zamiaru próbować przed czasem? A to dopiero niezwykła roztropność. Poczciwy chłopiec, ale to nie jest człowiek dla ciebie.

— Jest bogaty, dobrze wychowany i ma nadzwyczajnie dobre manjery — zaczęła Amelka, starając się być chłodną i pełną godności, lecz czując się trochę zawstydzoną szczerością tych wyznań.

Teodorek leżał na trawie, czując rozczarowanie, którego nie umiałby wytłumaczyć. Cisza zdenerwowała jeszcze więcej Amelkę.

—Mógłbyś mi zrobić łaskę i obudzić się trochę — rzekła szorstko.

— A ty również, kochana dziewczynko.

—Owszem, jeśli mi się spodoba — odpowiedziała wyniośle.

— Więc spróbuj, pozwalam ci — zaśmiał się, zadowolony, że może ją podrażnić.

— Będziesz zły za pięć minut. Stokrotka i ja znalazłybyśmy odpowiednie przezwisko dla ciebie — „leniuch“ — jak ci się podoba?

— Owszem, nieźle — dziękuję wam, niewiasty.

— Czy chcesz wiedzieć, co ja naprawdę o tobie myślę?

— Umieram z ciekawości.

— A więc — pogardzam tobą.

Gdyby nawet powiedziała „nienawidzę cię“, ale swym zwykłym, kokieteryjnym tonem, zaśmiałby się, ale poważny akcent w jej głosie był mu bardzo przykry. Zapytał szybko.

— A to dlaczego?

— Gdyż mając wszystkie dane, aby być dobry, uczynny, miły dla wszystkich i szczęśliwy, jesteś zły, leniwy, i zawsze ze siebie i ze świata niezadowolony.

— Mocno powiedziane, moja panno.

— Mogę powiedzieć o wiele więcej, chcesz tego?

— Błagam, to bardzo interesujące!

— Wiedziałam, że będzie ci się podobało, egoiści lubią zawsze mówić o sobie.

— Czyż jestem egoistą — pytał ze zdziwieniem, gdyż dumny był z jednej swej zalety — hojności.

— Tak, tak, jesteś samolubem — ciągnęła Amelka spokojnym, chłodnym tonem. — Zaraz ci tego dowiodę, obserwuję cię od czasu, jak jesteśmy razem. Wcale nie jestem z ciebie zadowolona. Jesteś już sześć miesięcy zagranicą i nie robisz nic, marnujesz czas i pieniądze, a to sprawia niemałą przykrość twym przyjaciołom.

— Czy nie należy mi się trochę rozrywki po czterech latach ciężkiej pracy?

— Nie wyglądasz na to, abyś używał rozrywek. Gdyśmy się spotkali, powiedziałam, żeś się tak zmienił, na dobre. Teraz cofam te słowa, gdyż porównać cię nie można nawet z tym, który był w zeszłym roku w domu. Wyrosłeś na leniucha i marnujesz życie na swawolach. Zadowolony jesteś, gdy podziwiają cię głupcy, zamiast starać się, aby cię lubili i poważali ludzie inteligentni. Mając pieniądze, zdolności, stosunki, zdrowie i dory wygląd— aha! podoba ci się to, zarozumialcze próżny! ale to prawda, nie nie poradzę na to; a więc mając takie skarby do rozporządzenia nie możesz znaleźć nic innego do roboty, jak bezmyślną włóczęgę i zamiast być mężczyzną, jakim być możesz i powinieneś, jesteś zwykłym....

Zatrzymała się, patrząc na niego z litością. Dłoń jego wyciągnęła się ku niej, a Teodorek wyszeptał głosem zawstydzonego dziecka:

—Już będę grzeczny, oh, będę grzeczny!

Ale Amelka nie roześmiała się, i uderzywszy ołówkiem wyciągniętą rękę, rzekła:

— Nie wstyd ci, mieć takie ręce? Miękkie i białe, jak u kobiety. Nie jesteś lalusiem, dzięki Bogu. Zadowolona jestem, że nie widzę chociaż brylantów lub wielkich pierścieni, a jedynie malutki, który ci kiedyś podarowała Ludka. Kochana! Chciałabym, aby mogła tu być i pomóc mi.

— Ja również!

W głosie Teodorka było coś takiego, że Amelka zamilkła na chwilę.

Pewnie ma jakieś kłopoty miłosne — pomyślała. — Żal się jej zrobiło i bardzo serdecznie mówiła dalej.

— Wiem, że nie mam wcale prawa tak do ciebie przemawiać. I gdybyś nie był najkochańszym chłopcem na świecie, dawno byś się na mnie pogniewał i uciekł. Ale widzisz, wszyscy jesteśmy tak dumni z ciebie i nie mogłabym znieść tej myśli, aby ktoś mógł zawieść się, choć może lepiej zrozumiałby tę zmianę, zaszłą w tobie, niż ja.

— W domu wszyscy mnie rozumieją — odpowiedział cichy głos.

— Powinni byli mnie uprzedzić. Uniknęlibyśmy tej nieprzyjemnej rozmowy, gdyż byłabym cierpliwsza i serdeczniejsza. Nigdy nie lubiłam tej twojej panny Roudel, a teraz, gdy widzę, co zrobiła z ciebie, nienawidzę!

— Ale nic mnie nie obchodzi panna Roudel — i Teodorek wzruszył obojętnie ramionami.

— Przepraszam; ja myślałam, że to ona... — i zamilkła dyplomatycznie.

— Nie mogłaś myśleć, gdyż zawsze doskonale wiedziałaś, że ja tylko jedną jedyną Ludkę kochałem.

— Teodorek powiedział to swym szorstkim tonem, odwracając głowę.

— Mogłam przypuszczać, ale nikt mi o tem nie mówił, a gdyś wyjechał, sądziłam, że jestem w błędzie. No i Ludka nie była dobra dla ciebie? Czy to możliwe? Byłam pewna, że odwzajemnia ci twe uczucia.

— Owszem, była dobra dla mnie, ale to za mało. Całe szczęście zresztą, że nie kochała takiego próżniaka i egoistę, chociaż to jest jej wina że jestem takim, jakim jestem i możesz jej to powiedzieć.

Nastąpiła kilkuminutowa cisza. Teodorek kręcił pierścionek na palcu, a Amelka wykańczała swój szkic. Gdy ostatnie cienia były już położone, podała mu kartkę, mówiąc:

— Jak ci się to podoba?

Spojrzał i uśmiechnął się — gdyż szkic był udany wyśmienicie: Postać leżąca na trawie, wyraz znudzenia na twarzy, oczy na pół przymknięte, w jednej ręce papieros, z którego unosiły się kłęby dymu.

— Świetnie rysujesz! — powiedział, dodając ze śmiechem — tak, to naprawdę ja!

— Tak, jak teraz wyglądasz, a oto, jak wyglądałeś — i Amelka podała mu drugą kartkę.

Szkic był gorszy, narysowany z pamięci. Ale kontrast był tak wielki, że Teodorek spoważniał i zamyślił się przez chwilę.

Obrazek przedstawiał jego na koniu, bez marynarki i kapelusza, a każda linja twarzy wyrażała natężenie, energję i zapał.

— Mocno zobowiązany! Zrobiłaś olbrzymie postępy! Winszuję ci! Czy mogę zaryzykować w tym „raju miodowych miesięcy“, tak prozaiczną uwagę, jak ta, że o piątej jest obiad w pensjonacie.

Mówiąc to, powstał, oddał rysunki, skłoniwszy się nisko, i spojrzał na zegarek, jakgdyby chcąc powiedzieć, że i lekcje morałów muszą mieć swój koniec. Starał się przybrać swój beztroski wyraz twarzy, ale nie bardzo mu się to udawało.

Lekcja Amelki skutkowała więcej, niżby to chciał przyznać. Uczuła ona chłod w jego postępowaniu i powiedziała sobie w duchu: — obraził się!

Jetśli mu to na korzyść wyjdzie — będę zadowolona. Jeśli mnie znienawidzi — będzie mi bardzo przykro, ale wszystko to co mu nagadałam, jest prawdą i nie mogę odwołać niczego, ani jednego słowa.

— Czy zobaczymy się wieczorem, braciszku? — zapytała, gdy żegnał się przed willą.

— Niestety, zajęty jestem. Do zobaczenia, panno Amelko — i Teodorek uniósł jej rękę, jakby chcąc ją pocałować, zwyczajem europejskim. Ale ta powiedziała szybko i gorąco.

— Nie, zostaw. Bądź sobą, Teodorku, i pożegnaj się po staremu. Wolę raczej mocny angielski uścisk dłoni, niż czułe pocałunki francuskie.

— Dowidzenia, kochanie — i z temi słowy, wypowiedzianemi miękko, Teodorek oddalił się szybko.

Nazajutrz, zamiast zwykłej wizyty, Amelka otrzymała list, który wywołał uśmiech na początku, a westchnienie na końcu:

Mój drogi Mentorze!

Proszę pożegnaj w mem imieniu ciotkę, a sama tryumfuj, gdyż leniuch, wyjechał do swego dziadka, jak najgrzeczniejszy z chłopców. Życzę ci wesołego spędzenia zimy i oby bogowie pozwolili ci na szczęśliwy miesiąc miodowy w Dolinie Róż. Myślę, że Fred będzie ten szczęśliwy i wybrany. Powiedz to mu odemnie i załącz powinszowania.

Twój wdzięczny ci
„Telmakus"

Porządny chłopak! Dobrze, że wyjechał — myślała Amelka.

Po chwili jednak westchnęła i dodała:

—Tak, dobrze, że wyjechał — ale jak bardzo będzie mi go brakować.

---

## ROZDZIAŁ XIII.

Kazanie Amelki wyszło na korzyść Teodorkowi, choć zrozumiał je dopiero o wiele później (mężczyźni rzadko gotowi są przyznać, że kobiety są dobrymi doradcami). Powrócił on do dziadka i przez szereg tygodni poświęcał mu się całkowicie i z takiem oddaniem, że pan Laurence doszedł do wniosku, że klimat nicejski ma wspaniały wpływ na chłopca i radził mu by pojechał tam jeszcze na jakiś czas.

Teodorek był przekonany, że jego nieszczęśliwa miłość do Ludki złamie go na całe życie i ku wielkiemu zdumieniu przekonał się, że się czuje na duszy i ciele coraz lepiej i że z dnia na dzień mniej myśli poświęca swej sercowej tragedji. Oburzał się na samego siebie, przybierał nieszczęśliwe pozy i starał się specjalnie, lecz napróżno, rozpalić ogień namiętności w swem sercu. Musiał z przykrością przyznać, że uczucie to przechodzi w spokojną, braterską serdeczność.

Tak kocham ją jak siostrę — i naraz z uśmiechem spojrzał na obraz Mozarta, wiszący w jego pokoju.

— Ciekawy człowiek, gdy nie mógł zdobyć ukochanej kobiety, pojął jej siostrę i byli szczęśliwi. Boże, jaki ja jestem nikczemny — pocałował pierścionek Ludki i rzekł głośno do siebie. — Nieprawda, nie zapomniałem i nigdy nie zapomnę.

Po chwili już siedział przy biurku i pisał sążnisty list: czy jednak nie zmieniła zdania, czy każe mu być ciągle nieszczęśliwym, czy nie mogłaby!... Czy nie chciałaby pozwolić mu na powrót i t. d. i t. d.

W oczekiwaniu na odpowiedź chodził podniecony i wmawiał w siebie że oszaleje chyba z rozpaczy, gdy nie otrzyma przychylnej odpowiedzi.

I nadszedł oczekiwany list. Ludka nie mogła i nie chciała. Była cała zaprzątnięta Elżbietką, która czuła się coraz gorzej. Prosiła go aby nie wspominał już ani słowa o miłości, by był szczęśliwy z kimś innym, ale zawsze zachował mały kącik w sercu dla kochającej go siostry Ludki. Wreszcie prosiła go, aby nie mówił Amelce o złym stanie zdrowia Elizki. Ma powrócić na wiosnę i nie ma sensu zatruwać jej ostatnich miesięcy podróży. Jeśli może, niech pisuje często do Amelki, gdyż z listów jej wieje jakiś smutek, którego przyczyny nie rozumieją. Biedna dziewczynka, napiszę do niej zaraz i tak z pewnością będzie miała biedaczka smutny powrót do domu.

List odszedł tegoż dnia, a i odpowiedź nie kazała na siebie długo czekać. Amelka była rzeczy-

wiście smutna i stęskniona i zwierzała się z tego w sposób uroczy.

Korespondencja zakwitła. Listy kursowały regularnie przez całą wiosnę. Teodorek powrócił do Paryża i chociaż z całego serca pragnął znaleźć się w Nieceji, czekał jednak na zaproszenie dziewczęcia, to jednak nie nadchodziło, gdyż Amelka bała się przenikliwego spojrzenia, któreby tajemnicę jej serduszka prędko dostrzegło.

Fred Vanghan powrócił i zadał jej pytanie, na które kiedyś postanowiła odpowiedzieć: „Tak“, ale teraz powiedziała „Nie“, spokojnie, ale energicznie, gdyż gdy moment oczekiwany nadszedł, odwaga odeszła ją i zrozumiała, że coś więcej, niż pieniądze i stanowisko, potrzebne jest do szczęścia. Serce jej budzić się poczęło i napełniać nowemi uczuciami, dotychczas nieznanemi. Pisywała do Teodorka często, opowiadając mu o wszystkiem i licząc się z jego opinją. Interesowała się wszystkiem, co jego tyczyło, posyłała mu małe prezenty, a jej listy pełne były wesołych ploteczek, siostrzanych zwierzeń i małych szkiców.

Ciotka Karola sądziła, że Amelka żałuje odpowiedzi, jaką dała Fredowi. Ale ona, uważając, że zaprzeczenia byłyby bezcelowe, a tłumaczenia niemożliwe, zostawiła ciotkę przy swych mniemaniach. Doniosła jedynie Teodorkowi, że Fred wyjechał do Egiptu. Ale on zrozumiał więcej i pokiwał głową nad listem:

— Byłem pewien, że się Amelka namyśli. Żal mi chłopca, sam przez to przeszedłem, więc go dobrze rozumiem.

W tym czasie nieszczęście stało się w domu. Ale list o śmierci Elizy nigdy nie doszedł rąk Amelki. A gdy z następnego dowiedziała się o wypadku, grób jej siostry porastała już trawa.

Ta tragiczna wiadomość zastała Amelkę w Szwajcarji we Vevey. W maju upały wypłoszyły je z Nicei i pojechano przez Genuę i jeziora Włoskie do Szwajcarji. Bolesną nowinę przyjęła z rezygnacją, i ulegając prośbie rodziny, nie skróciła swego pobytu zagranicą, gdyż tak zapóźno już było na pożegnanie biednej, drogiej siostrzyczki.

Jak bardzo tęskniła!

Z dnia na dzień oczekiwała przyjazdu Teodorka, pamiętając o jego obietnicy przybycia i pocieszenia jej. Przyjechał też niebawem.

List, w którym zawiadomiono go o tym strasznym wypadku, nie zastał go w Paryżu i kilka dni upłynęło, zanim doręczono mu. Zapakował walizkę, pożegnał towarzyszy wycieczki i ruszył w drogę, pełen radości i smutku, nadzieji i przygnębienia. Miejscowość znał doskonale i gdy tylko łódź przybiła do brzegu, pobiegł w kierunku willi, w której mieszkali wujostwo, wraz ze Stokrotką i Amelką. Służba oznajmiła, że wszyscy wyjechali na wycieczkę i tylko panna Amelka pozostała w domu; jest w ogrodzie i jeśli sobie życzy, to za kilka chwil panienkę się sprowadzi.

Ale Teodorek nie chciał nawet „paru chwil“ czekać i pobiegł pędem, by panienkę sam odszukać.

Pod cienistemi konarami kasztanów, w starym, pięknym ogrodzie nad brzegiem jeziora siedziała Amelka. Przychodziła tu codziennie by czytać, a nadewszystko by myśleć o swej drogiej, kochanej siostrzyczce i o przyjacielu, który powinien był już przyjechać. Nie usłyszała, gdy podszedł do niej, nie widziała, że stał przed nią. A on patrzał na nią ze wzruszeniem.

Siedziała bez ruchu: stos listów w ręku, czarna wstążka we włosach, spojrzenie pełne smutku i bólu.

Po chwili dostrzegła go, zerwała się z miejsca i nie ukrywając swej miłości, krzyknęła ze łzami.

— Teodorku, najdroższy Teodorku! Wiedziałam, że przyjedziesz do mnie!

Gdy tak stali, bez ruchu, wpatrzeni w siebie, Amelka poczuła, że jest on jedyny, który ją zdoła pocieszyć i dodać otuchy do życia, a on zrozumiał, że kocha Amelkę i, że jest ona jedynem dziewczęciem na świecie, mogącem mu zastąpić Ludkę. Nie powiedział jej ani słowa, a jednak szczęśliwi byli i wiedzieli, że na całe życie do siebie należą.

Amelka ocierała łzy.

— Nie umiałam zapanować nad sobą. Byłam taka sama i smutna i tak ucieszyłam się, ujrzawszy ciebie... myślałam, że już nie przyjedziesz — mówiła — napróżno starając się nie okazywać swego wzruszenia.

— Wyjechałem, jak tylko mnie wieść doszła. Chciałbym ci coś powiedzieć, aby pocieszyć cię po stracie biednej Elizy, ale nie umiem, czuję jednak, że...

Nie wiedział co mówić dalej. Chciał oprzeć jej głowę na swem ramieniu, aby się wypłakała, ale nie śmiał. Ujął tylko jej rękę, głaszcząc ją delikatnie.

— Nie masz potrzeby mówić cośkolwiek, to mi wystarcza — szepnęła — Eliza jest już szczęśliwa, ale tak bardzo boję się powrotu do domu, chociaż chciałabym ich wszystkich zobaczyć... nie, nie mówmy o tem... nie chcę płakać, chcę być wesoła, gdy ty tu jesteś. Czy prędko stąd wyjedziesz?

— Nie, mogę zostać, jeśli tego sobie życzysz.

— Och, och, i jak bardzo! Ciocia i Stokrotka są bardzo dobre dla mnie, ale ty jesteś mi tak bliski, gdybyś tak mógł przez pewien czas być tu zemną.

— Biedactwo! sama wyglądasz na chorą. No, teraz jesteś pod moją opieką, więc proszę więcej nie beksać.

Powiedział to na pół pieszczotliwym na pół rozkazującym tonem, który tak bardzo lubiła. Ujął ją pod ramię i poszli wzdłuż cienistej aleji. Spacerowali przez godzinę po starym ogrodzie, który gościł już wiele par zakochanych, a gdy dzwonek oznajmił, że czas na obiad, poszli, trzymając się za dłonie.

I popłynął czas rozkoszny dla naszych zakochanych. Jeździli konno, wiosłowali lub czytali głośno. Amelka podziwiała wszystko, co robił i naśladowała go jak tylko mogła.

Teodorek sam był najbardziej zdumiony, że tak prędko wyleczył się ze swej pierwszej, a jak myślał, jedynej i ostatniej miłości. Ta pierwsza była pełna wstrząśnień i przykrych przeżyć, z radością myślał, że ta druga będzie spokojna i prosta. Wiedział, że najbliżsi będą radzi z tego związku, nie wyłączając Ludki, wierzył we wzajemność Amelki, a jednak czekał, pozostawiając losowi moment, w którym padną ważkie słowa i zamienią zaręczynowe pierścionki. Wyobrażał sobie, że ta decydująca scena rozegra się w ogrodzie przy świetle księżyca.

Odbyło się to jednak wprost przeciwnie, w południe, na jeziorze i wcale nie tak poetycznie, jak to sobie wyobrażał.

Pewnego pięknego i bardzo słonecznego ranka wiosłowali zawzięcie. Łódka ciężko mknęła po gładkiej fali jeziora, a oni siedzieli cisi i zadumani.

— Zmęczyłeś się, Teodorku — rzekła, chcąc przerwać milczenie, — oddaj mi teraz wiosła.

— Nie. nie jestem zmęczony, możesz jednak wziąć jedno, siadaj tutaj, koło mnie, miejsca jest wszak dosyć.

— Jak dobrze nam idzie — zauważyła cicho.

— Tak, dobrze, że pragnąłbym zawsze być z Tobą w jednej łodzi. Czy zgadzasz się kochanie — zapytał czule.

— Tak, Teodorku — szepnęła.

Przestali wiosłować. On objął ją silnym ramieniem i tak pozostali zamyśleni, tworząc piękny obrazek miłości i szczęścia.

---

## ROZDZIAŁ XIV.

Ludka leżała sama na starej kanapie, patrząc w ogień. Był to jej ulubiony sposób spędzania wieczorów. Nikt jej nie przeszkadzał i mogła swobodnie myśleć, marzyć i wspominać o siostrze, która zawsze zajmowała pierwsze miejsce w jej sercu. Twarz jej miała wyraz zmęczenia, powagi i smutku, gdyż nazajutrz wypadał dzień jej urodzin i zastanawiała się właśnie, jak szybko czas leci, jak się ona starzeje i jak mało w życiu dokonała.

— Dwadzieścia pięć lat! stara panna — oto czem jestem — bazgrzę historyjki dla dzieci, bez sensu, bez zrozumienia. A gdy może za dwadzieścia lat poznają się na mnie, będę już za stara, by się tem cieszyć.

Musiała zasnąć, gdyż zdawało jej się, że duch Teodorka ukazał się i szedł ku niej. Ale nie, był to prawdziwy Teodorek, z krwi i kości. To nie sen!

— Oh, mój Teodorku! kochany mój Teodorku!

— Ludeczko, więc naprawdę cieszysz się, że mnie widzisz?

— Czy cieszę się! Gdzie Amelka?

— Mama zabrała ją do Małgosi. Zatrzymaliśmy się tam po drodze i nie było sposobu na wyciągnięcie mej żony z ich objęć!

— Twej — czego? — krzyknęła Ludka, gdyż Teodorek mimowoli zaakcentował te dwa słowa, pełen dumy i zadowolenia.

— Tak, dokonałem tego — i spojrzał na nią ze skruchą.

A ona pytała dalej:

— Więc naprawdę? Pobraliście się?

Tak, ale nie gniewaj się, już więcej nie będę — i usadowił się koło jej kolan, śmiesznie naśladując żal, załamując ręce w prośbie o wybaczenie. W oczach jego malowała się jednak radość i triumf.

— Na litość boską, na co teraz kolej przyjdzie? — krzyczała, udając gniew i strofując go, jak dziecko — czego się po tobie spodziewać można, gdy wstrzymujesz komuś oddech, wsuwając się jak złodziej, do pokoju i potem każesz sobie wyrywać wszystkie nowiny z gardła. Wstawaj natychmiast, wstrętny chłopaku i opowiadaj, ale wszystko, wszystko.

— Planowaliśmy powrócić razem z wujostwem przed miesiącem, zdaje się, ale oni zmienili zamiary i postanowili spędzić jeszcze jedną zimę w Paryżu. Ale dziadek chciał już powrócić do domu. Nie mogłem go samego puścić, ani też Amelki zostawić, a ciotka Karola nie pozwoliła by

mi wziąć jej z nami. Więc rozstrzygnąłem tę kwestję, mówiąc jej — Pobierzemy się, a wtedy będziemy mogli robić, co się nam podoba!

— I tak zrobiłeś — zawsze ci się życie układa, jak tego sobie życzysz.

— Nie zawsze — i cóś w głosie Teodorka kazało Ludce dodać szybko.

— A jak udało ci się uzyskać pozwolenie cioci?

— O, to była ciężka praca. Nie było czasu na pisanie do was, ale wiedzieliśmy, że wszystkim wam się to podoba. A czas można było „tylko łapać za uzdę“ — jak mówi moja żona. Więc tłumaczyliśmy, aż się zgodzono, gdyż wiedziano, jak jesteśmy sobą zajęci — no, i pobraliśmy się.

— Kiedy, gdzie? — pytała Ludka, w gorączce kobiecej ciekawości, gdyż nie mogło jej się to jeszcze pomieścić w głowie.

— Przed sześciu tygodniami, w konsulacie amerykańskim w Paryżu — bardzo skromny ślub, oczywiście, gdyż nawet w naszem szczęściu, nie mogliśmy zapomnieć o małej, biednej Elizie.

Ludka zamilkła.

Siedzieli przez chwilę spokojnie.

— Dlaczego nie zawiadomiliście nas zaraz? — zapytała po pewnym czasie.

— Chcieliśmy wam zrobić niespodziankę. Chcieliśmy jechać wprost do domu, ale kochany

dziadzio natychmiast po naszym ślubie orzekł nagle, że nie może wyjechać wcześniej, niż za miesiąc i wysłał nas w podróż poślubną. Amelka kiedyś wspominała, że Valrosa jest rajem przeznaczonym do spędzania miodowych miesięcy. Pojechaliśmy więc tam i byliśmy tak szczęśliwi, jak szczęśliwym można tylko być raz jeden w życiu. Piękna jest miłość wśród róż!

Zamyślił się tak głęboko, że zdawało się, że zapomniał o obecności Ludki, lecz gdy ta starała się wysunąć swą rękę z jego dłoni, nie pozwolił i rzekł z powagą, której nie znała przedtem u niego.

— Ludko, chcę ci powiedzieć coś i nigdy więcej już poruszać tego tematu nie będziemy. Tak, jak ci pisałem, nigdy nie przestanę cię kochać, tylko miłość moja przybrała inny charakter. Byłem chłopcem gwałtownym i prędkim. Ciężka była ta lekcja, którą mi dałaś, lecz jestem ci za nią wdzięczny. Zrozumiałem, że mogłem uczciwie podzielić me serce pomiędzy siostrą Ludką, a żoną Amelką. Czy wierzysz mi i chcesz powrócić do dobrych dawnych czasów, gdyśmy się tak dobrze zgadzali?

— Wierzę ci z całego serca, Teodorku, ale niestety, nie możemy już nigdy być chłopcem i dziewczynką — dawne, dobre czasy już nie wrócą i nie możemy się tego spodziewać. Jesteś mężczyzną, ja dorosłą kobietą — musimy pracować. Minął czas zabaw, jestem pewna, że tak samo czujesz.

Żal mi trochę mego dawnego chłopca, ale będę kochała mężczyznę i podziwiała go, gdyż jest on takim, jakim chciałam go widzieć. Będziemy rodzeństwem, pomagającem sobie w życiu nawzajem, wszak prawda?

W milczeniu uścisnął jej rękę, którą mu podała.

Powiedziała wesoło:

— Nie mogę jeszcze sobie wyobrazić, żeście się pobrali, dzieciaki, i że będziecie prowadzić własne gospodarstwo. Wydaje mi się, że to wczoraj jeszcze zawiązywałam fartuszek Amelce, a ciebie czesałam!

— Ale ponieważ jedno z dzieci jest starsze od ciebie, więc nie rób z siebie babci. A gdy zobaczysz Amelkę, to jej wogóle nie poznasz — odpowiedział rozbawiony jej macierzyńskiem spojrzeniem.

— Jesteś trochę starszy wiekiem, ale ja jestem o tyle starsza usposobieniem. Kobiety zawsze są doroślejsze od swych rówieśników. A ten ostatni rok był tak ciężki, że czuję się jak czterdziestoletnia niewiasta.

— Biedactwo, zostawiliśmy cię tu samą, uganiającą się za przyjemnościami. Wyglądasz starzej. Tu masz zmarszczkę, a tu drugą. I oczy twoje są smutne. A gdy przedtem dotknąłem poduszki, poczułem na niej łzy. Musiałaś tyle znieść i znieść sama. Co za egoista ze mnie!

Ale Ludka odsunęła zdradliwą poduszkę i rzekła, siląc się na wesołość:

— Nie sama, miałam ojca i mamę i myśl, że wy oboje jesteście tam szczęśliwi. To przynosiło mi ulgę. Czuję się czasem samotną, ale dobrze mi to robi i...

— I więcej już nigdy nie będziesz — przerwał jej Teodorek — Amelka i ja, nie możemy żyć bez ciebie, więc musisz nauczyć „dzieci" prowadzić gospodarstwo i ze wszystkiem będziemy się dzielić i będziesz na nas krzyczała, jak dawniej, i wszystko ułoży się tak dobrze!

— Jeśli nie będę wam zawadzać, to z przyjemnością — zgoda. Znowu czuję się młoda. Jak ty się pokażesz tylko, wszystkie troski znikają. Zawsze miałeś taki wpływ na mnie.

— Zostałaś tą samą Ludką, co roni łzy, a w następnej chwili wybucha śmiechem. Dlaczego tak patrzysz przenikliwie?

— Zastanawiam się, jak wy zgadzacie się ze sobą.

— Jak anioły.

— Naturalnie, ale kto rządzi?

— Przyznam się, że teraz ona. Przynajmniej pozostawiam ją w tem mniemaniu. Powoli zmienią się role. Pamiętam naukę mamy, że w małżeństwie każdy ma połowę praw, a całe obowiązki.

— No, no, już Amelka będzie cię prowadzić przez całe życie.

— Niech tam, robi to tak delikatnie, że się temu nie sprzeciwię.

— O, ona wie jak rządzić. A mnie to się podoba.

— Zawsze będę cię widziała pod jej pantoflem — śmiała się Ludka.

— Przyda mi się to, prawda?

Gdzie jest Ludka? Gdzie moja stara siostra?

I Amelka wbiegła do pokoju, a za nią cała rodzina. Po powitaniach trójka podróżników oblężona została przez żądnych słuchaczy. Starszy pan Lawrence był tak samo zachwycony jak i młodzi swą podróżą. Wydawał się młodszy, pełen życia i z dumą spoglądał na „moje dzieci" jak nazywał młodą parę. Miło było obserwować Teodorka i Amelkę, z jaką tkliwością i serdecznością zwracali się do dziadka.

— Jak stworzeni do siebie — myślała Ludka, spoglądając na młodą parę — miałam jednak rację, że Teodorek znajdzie sobie piękną i uroczą żonę, która w zupełności zastąpi starą, niezdarną Ludkę.

Państwo March szczęśliwi byli, widząc swą najmłodszą córeczkę otoczoną miłością i szacunkiem.

— Miłość zamieniła na lepsze naszą dziewczynkę — powiedziała jej matka.

— Spodziewam się, że pozostanie taką przez całe życie, moja droga — odszepnął pan March,

spoglądając z czułością na pomarszczone oblicze i siwą głowę swej towarzyszki.

Zaczęła się ogólna rozmowa. Jak katarynki! Naprzód mówiło jedno, potem drugie, potem wszyscy naraz, starając się opowiedzieć dokładnie historję trzech lat w ciągu pół godziny.

Na szczęście podano herbatę. Stworzyło to pożądaną przerwę, gdyż inaczej młodzi zagadaliby wszystkich na śmierć. Szczęśliwy pochód przeszedł do jadalni. Pan March prowadził panią Lawrence. Pani March towarzyszył „jej“ syn, a stary pan Lawrence wziął Ludkę, szepcąc jej do ucha:

— Teraz ty musisz być moją dziewczynką — i spojrzał w pusty kącik przy piecu.

Ludka westchnęła i odszepnęła drżącemi ustami:

— Będę się starała zastąpić ją.

Po podwieczorku całe towarzystwo gawędziło nadal wesoło. Pan March wyszedł na chwilę i wprowadził Małgosię, tulącą do siebie dwoje pięknych niemowląt.

Ludka czuła się jednak osamotnioną. Amelka rozmawiała serdecznie z panem Lawrence. Teodorek przysiadł do mamy i szeptem zwierzał się jej, prosząc, by go uważali nadal za syna.

Ona jedna siedziała sama i walczyła ze łzami.

— Nic, nic, wybeczę się w łóżku, teraz nie będę im psuła nastroju — myślała, wycierając ręką oczy, gdyż jednym z jej przyzwyczajenia było nigdy nie wiedzieć, gdzie ma chustkę do nosa.

Nagle zadźwięczał dzwonek przy drzwiach frontowych.

Drzwi otworzyła Ludka i oniemiała; we drzwiach stał wysoki pan z wielką brodą i uśmiechem na ustach.

Oh, pan Bhaer! Jak się cieszę, że pana widzę — krzyknęła Ludka, klaszcząc w dłonie i wpychając go do środka pokoju, jakby w strachu, że ciemna noc pochłonie go z powrotem.

— I ja też cieszę się, panno March, ale nie, pani ma gości — dodał, słysząc głosy dochodzące z jadalni.

— Nie, niema gości, tylko rodzina. Przyjechali dziś: moja siostra i brat, i wszyscy jesteśmy uradowani. Proszę z nami tę radość dzielić, profesorze.

Pan Bhaer byłby napewno odszedł i powrócił innego dnia, ale jak to mógł uczynić, kiedy Ludka zamknęła drzwi za nim i zabrała mu kapelusz?

Zresztą twarz dziewczyny okazywała taką szczerą radość, że była ona nie do przezwyciężenia, zwłaszcza, że przywitanie przeszło jego najtajniejsze nadzieje.

— Jeśli nie będę zbyteczny, to z radością zostanę. Czy pani chorowała? — patrzał zaniepokojony na nią.

— Nie jestem chora, ale szalenie zmęczona i zdenerwowana, wszak wie pan, jak wielkie nieszczęście nas dotknęło.

— Wiem, wiem, i często bardzo myślałem o pani.

Mówiąc to popatrzał na nią z taką sympatją, że Ludka uczuła, że nikt nie ma na nią tak kojącego wpływu, jak on.

— Ojcze, mamo, to jest mój przyjaciel, profesor Bhaer — powiedziała, wchodząc do salonu. W głosie jej brzmiała duma i radość.

Jeśli cudzoziemiec miał jeszcze pewne wątpliwości co do szczerości powitania, to rozwiały się one po chwili. Wszyscy byli życzliwie usposobieni ze względu na Ludkę z początku, a potem dla jego osoby bezpośrednio. Miał on niezwykły dar zjednywania serc i tych prostych ludzi zdobył wstępnym bojem, może dlatego, że był biednym i jak oni skromnym.

Teodorek tylko zachowywał się w początku dość dziwnie. Nie była to zazdrość, lecz jakby podejrzliwość, z którą obserwował przybyłego. Nie trwało to długo, gdyż pan Bhaer chociaż kaleczył okropnie język angielski, mówił miło i przywiązywał do siebie słuchaczy. On ze swej strony nie zwracał się w rozmowie do Teodorka, lecz z pod oka mu się przypatrywał i jakby cień jakiś osiadł na jego czole. Uczucie żalu, za minioną młodością obudziło się w nim, gdy patrzył na tego młodego,

zdrowego człowieka. Po chwili wzrok jego przeniósł się na Ludkę, jakby w niemem zapytaniu. Ona jednak nie widziała tego, zajęta, jako przykładna ciocia, szyciem sukienki dla Stokrotki i Adasia. Biedny profesor łykał łzy, przekonany, że niepotrzebnie się trudził.

— Ludka kocha z pewnością tego człowieka — pomyślał z bólem.

— Zaśpiewajmy coś chórem, dawno już nie byliśmy tak razem zebrani — rzekła nagle Ludka.

— Świetny pomysł, zagraj no coś Amelko, pokaż jakie zrobiłaś postępy — zaśmiał się Teodorek.

— Och, nie jestem dzisiaj usposobiona.

Dała się jednak namówić. Zagrała ślicznie i z uczuciem a następnie ulegając ogólnym prośbom, zagrała ulubione piosenki Elizy, a śpiewała je tak ładnie i z takiem uczuciem, że wszyscy zpoważnieli, zasłuchani w smutną melodję, podczas gdy jej sopran nucił hymn Elizy „Za wszystkie smutki ziemskie jest w niebie nagroda“. Głos Amelki drżał i Teodorek zrozumiał jak boleśnie odczuwa ona brak Elizy.

— No, a teraz Mignon — profesor śpiewa, to ślicznie — zawołała Ludka, chcąc przerwać przygnębiające milczenie.

Ban Bhaer odchrząknął: hum, hum i stanął obok niej.

— Ale śpiewać będziemy razem, tak nam to dobrze idzie.

Trudno byłoby to sobie wyobrazić, gdyż Ludka miała takie pojęcie o śpiewie, jak kura o pieprzu. Ale zgodziłaby się, gdyby zaproponował jej wykonanie i całej opery. Zaczęła więc mu wtórować, potwornie fałszując i pogardzając takiemi detalami, jak utrzymanie tempa. Ale niewiele to szkodziło, gdyż pan Bhaer śpiewał głośno i dobrze. Powoli zniżała ton i wreszcie zupełnie umilkła, zasłuchana w jego melodyjny głos.

— Znasz-li ten kraj, gdzie cytryna rośnie?

Była to ulubiona pieśń profesora, gdyż głos jego potężniał, a jednocześnie nabierał ciepła i kolorytu gdy śpiewał.

— Tam, o, tam, pójdę z tobą, o, ukochana...!

A jedna słuchaczka tak się przejęła tem zaproszeniem, że chciała powiedzieć, że nie zna tego kraju, ale zgadza się wyjechać, wszędzie, dokąd ją weźmie.

Śpiew podobał się ogólnie i artysta spoczął nagrodzony rzęsistemi oklaskami.

Profesor czuł się doskonale, żartował, śmiał się i bawił rozmową Amelkę, która się do niego mile uśmiechała. Przedstawiono mu ją poprostu jako „moja siostra“ a nikt nie zwrócił się do niej jako do pani Lawrence, to też nie umiał ukryć swego zdumienia, gdy Teodorek uścisnął mu rękę na pożegnanie, mówiąc serdecznie.

— Moja żona i ja jesteśmy zachwyceni poznaniem pana. Proszę o nas nie zapomnieć, profesor będzie zawsze mile widziany.

Pan Bhaer podziękował mu z taką wdzięcznością, a twarz jego nagle tak się rozpromieniła, że Teodorek uznał go za bezsprzecznie najmilszego „typa“, jakiego znał.

— Ja też muszę odejść, ale przyjemnie wrócić, o ile pani mi da na to pozwolenie, nieprawdaż? Interesy zatrzymać mnie muszą na kilka dni, „nie“?

Mówił do pani March, ale patrzał na Ludkę. Odpowiedź matki wyrażała to samo, co oczy córki.

— Wydaje mi się, że to inteligentny człowiek — zauważył pan March, gdy goście odeszli.

Jestem pewna, że jest bardzo dobry — dodała pani March.

— Wiedziałam, że się wam spodoba — rzekła tylko Ludka, udając się na spoczynek.

---

## ROZDZIAŁ XV.

— Pani matko, czy nie mogłabyś wypożyczyć mi moją żonę na pół godziny? Nadszedł bagaż i poprzewracałem wszystko do góry nogami, chcąc znaleźć kilka drobiazgów — mówił Teodorek, przychodząc następnego dnia do domu rodziców i znajdując panią Lawrence na kolanach u matki, jakby znów powróciła do czasów dzieciństwa.

— Naturalnie, idź, dziecko. Zapomniałam, że masz własny dom oprócz tego — i pani March uścisnęła rękę z obrączką na palcu, jakby prosząc o wybaczenie jej macierzyńskiej zachłanności.

— Nie przyszedłbym tu, gdybym umiał sam dać sobie radę, ale bez mej małej kobietki, tak, jak... jak...

— Jak ryba bez wody — dokończyła Ludka, gdy zatrzymał się, szukając odpowiedniego porównania.

— Ot, co! oczywiście!

— No, chodź do domu, znajdę ci twój ulubiony krawat.

— Dla niego napewno porozrzucałeś moje rzeczy. Mężczyźni są tak nieudolni — powiedziała pobłażliwie.

— Co zamierzacie robić ze sobą, gdy się już urządzicie? — zapytała Ludka, zapinając siostrze palto, jak kiedyś zawiązywała jej fartuszek.

— Mamy już swe plany — odpowiedział Teodorek — nie chcemy jeszcze wiele o nich mówić, bo niema jeszcze nic pewnego, ale z drugiej strony nie widzę potrzeby otaczania się chmurą tajemniczości. W każdym razie ja wstępuję do interesu i dowiodę dziadkowi, że się jeszcze na coś zdać mogę. Będzie zachwycony. Czuję potrzebę zrobienia czegoś takiego, aby wejść nareszcie w tryby życia. Mam dosyć włóczęgi i chce pracować, jak na mężczyznę przystało.

— A Amelka, co ona będzie robiła? — zapytała pani March, zadowolona z decyzji zięcia i z energji, z jaką to wypowiedział.

— Po dopełnieniu wszystkich obowiązków grzeczności względem znajomych i po pokazaniu swych najładniejszych tualet i najmodniejszych kapeluszy, to też praca, i zadziwi nas wszystkich elegancką gościnnością naszego domu, wytwornem towarzystwem, jakie się u nas zbierać będzie, oraz wpływem, jaki mieć będziemy wszędzie, jak świat długi i szeroki. To mniej więcej wszystko, nieprawda Madame Recamier? — zapytał Teodorek, patrząc po łobuzersku na żonę.

Czas wszystko okaże. No, chodź już, ty impertynencie, chodź! — odrzekła Amelka, postanawiając, że dobra żona, pilnująca ogniska domowego musi poprzedzać salonową królowę.

— Jak szczęśliwemi wydają się te dzieci! — zaobserwował pan March.

— I, myślę, że szczęście to będzie trwało — dodała pani March.

— O, tak, jestem o tem przekonana. Szczęśliwa Amelka, i Ludka cicho westchnęła, poczem wesoło zaraz się uśmiechnęła, gdyż w drzwiach stanął profesor Bhaer.

Późno wieczorem, gdy Amelka znalazła mężowi wszystkie potrzebne mu rzeczy i porządkowała swe nowe skarby, Teodorek zwrócił się nagle do niej:

— Pani Lawrence!

— Mylordzie?

— Ten człowiek ma zamiar ożenić się z naszą Ludką. Mam tę nadzieję.

— Tak, dziecko, uważam go za morowca w całem tego słowa znaczeniu, ale wolałbym, żeby był trochę młodszy i dużo bogatszy.

— Nie, nie bądź wymagającym. Jeśli oboje się kochają, to nie sprawia to różnicy, ile mają lat i ile pieniędzy.

— Chciałbym, żebyśmy coś zrobili dla tego profesora. Możeby stworzyć jakiegoś bogatego krewnego, któryby oczywiście natychmiast umarł w Niemczech i pozostawił mu znaczniejszą sumkę

w spadku — powiedział Teodorek, gdy przemierzali salon tam i z powrotem, trzymając się pod ręce, gdyż przyzwyczaili się w takich warunkach robić wszelkie plany, jak to było w ogrodzie w Vevey w pierwszych czasach narzeczeństwa.

— Ludka domyśli się i wszystko zepsuje; ona jest strasznie dumna z niego takiego, jakim obecnie jest, a wczoraj powiedziała, że ubóstwo jest piękną rzeczą.

— A to dopiero! Innego byłaby zdania, gdyby Bhaer był bogaty. Nie będziemy wtrącać się teraz, ale wyczekamy odpowiedniej chwili i urządzimy im niespodziankę wbrew ich woli. Mam długi wobec Ludki, w ten sposób jej to spłacę.

— Jaka to rozkosz móc pomagać innym, nieprawda? To było zawsze mojem marzeniem i dzięki tobie marzenie to stało się rzeczywistością.

— Ah, my zrobimy wiele dobrego jeszcze. Ludzie bezczelni zawsze wkońcu wyjdą z biedy, ale chciałbym pomóc takim ambitnym, którzy pierwsi o nic nie poproszą. Mimo to jest mnóstwo sposobów, aby im pomóc, trzeba to tylko robić delikatnie, aby ich nie urazić.

— Tak, masz rację. Wiem o tem dobrze, gdyż należałam do tej klasy ludzi, zanim zrobiłeś ze mnie księżniczkę. Ambitne dziewczyny mają ciężkie życie, Teodorku, dlaczego teraz, gdy widzę, że ktoś walczy z życiem, a młodość i zdrowie nie czekają, chciałabym pomóc, tak, jak mnie pomagano.

— I pomożesz, boć przecież aniołem jesteś! — zawołał Teodorek.

Uścisnęli sobie ręce, a Teodorek czule pocałował żonę. Czuli się tak dobrze razem. Szczęście uśmiechało się zewsząd do nich, z każdego kąta ich nowego, własnego domu, a serca ich biły ku sobie miłością wielką, gorącą i oddaną.

---

## ROZDZIAŁ XV.

Podczas gdy Teodorek i Amelka odbywali swe małżeńskie spacery po perskim dywanie, pan Bhaer i Ludka robili inne wycieczki, po błotnistych drogach i mokrych polach.

— Zawsze spaceruję przed wieczorem, i nie wiem, dlaczego miałabym tego zaprzestać, gdy zdarza się, że spotykam po drodze profesora —rzekła Ludka do siebie, po dwóch czy trzech „przypadkowych“ spotkaniach.

Dwie drogi prowadziły do domu Małgosi, którąkolwiek obrała, była zawsze pewna, że go spotka, idąc lub wracając. On szedł zawsze szybko i nigdy nie widział jej przed zbliżeniem się na kilka kroków. Wtedy nagle spoglądał przed siebie i jego krótkowzroczne oczy zdawały się „przypadkowo“ wtedy dopiero zauważyć zbliżającą się Ludkę. Wtedy, jeśli szła do Małgosi, zawsze miał coś, co chciał podarować dzieciom; jeśli wracała, on właśnie też powracał z wycieczki i mógłby wstąpić do nich, o ile naturalnie nie będzie nikomu przeszkadzał.

Co mogła zrobić Ludka w tych warunkach?

Czasem musiała umiejętnie ukryć swe zmęczenie i grzecznie go zaprosić. Wtedy do kolacji musiała być kawa, gdyż „Friedrich“ to znaczy pan Bhaer nie lubił herbaty“.

Po tygodniu wszyscy doskonale zdawali sobie sprawę z tego, co się święci — ale wszyscy milczeli jak kamienie, udając, że nie widzą żadnych zmian u Ludki — nikt nie pytał, dlaczego podśpiewuje przy pracy lub dla czego trzy razy dziennie czesze włosy. I nikt nie zdawał się mieć najlżejszego podejrzenia, że gdy profesor Bhaer rozmawiał o filozofji z ojcem, były to lekcje miłości dla córki.

Ludka ciągle starała się stłumić swe uczucia. a ponieważ przychodziło jej to z trudnością, więc była stale zdenerwowana.

Przez dwa tygodnie profesor przychodził z regularnością zakochanego, poczem nie zjawił się przez trzy dni, nie dał znaku życia, co wszyscy przyjęli ze smutnem zdziwieniem. Ludka zaś czuła się urażoną, jak przystało na prawdziwą bohaterkę romansu.

— Zniecierpliwił się i powrócił do domu tak nagle, jak nagle się tu zjawił. Oczywiście, nie robi mi to najmniejszej różnicy, ale mógłby być na tyle dobrze wychowanym, żeby się przedtem pożegnać — powiedziała do siebie, przygotowując się do zwykłego spaceru i z desperacją spoglądając na furtkę do ogrodu.

— Weź lepiej parasol, kochana, zanosi się na deszcz — rzekła matka, widząc, że Ludka włożyła nowy kapelusz.

— Tak, mateczko. Czy nie potrzebujesz niczego w mieście? Muszę iść kupić papieru — odpowiedziała Ludka, poprawiając kołnierz w lustrze i w ten sposób unikając spojrzenia matki.

Jeżelibyś przypadkowo spotkała pana Bhaera, przyprowadź go ze sobą na herbatę, Ja naprawdę stęskniłam się za tym kochanym człowiekiem — dodała pani March.

Ludka nie odpowiedziała, pocałowała tylko matkę, i szybko wyszła

— Jaka ona dobra. Jak radzą sobie dziewczęta, które nie mają matki?

Sklep z przyborami piśmiennemi nie znajdował się w dzielnicy biur, banków i wielkich magazynów. Mimo to Ludka poszła tam, nie zbaczając z drogi.

Choć zakochana po uszy, uświadomiła sobie, że pada deszcz i nowy jej kapelusz i wstążki — wszystko na nic. Przypomniała sobie o parasolu, który w pośpiechu, aby uniknąć dalszych pytań i spojrzeń, zostawiła w przedpokoju. Co tu zrobić? Gdzieby można było parasol wypożyczyć? Gdy tak szła mokremi ulicami, wzrok jej padł na wielki szyld „Hofmann, Schwarz i Ska". Ludka stanęła i rzekła sobie w duchu:

— Dobrze mi tak! Co za pomysł włożyć na siebie najlepsze rzeczy w taką pogodę i włóczyć się tu w nadzieji spotkania profesora. Ludko! Wstydzę się za ciebie! Nie, nie pójdziesz wypożyczyć tu parasola, lecz pójdziesz dalej, po deszczu. Tak! A jak nabawisz się choroby i zniszczysz ubranie, to będzie to nauczką na przyszłość.

Z tem ruszyła dalej, idąc szybko i roztrącając po drodze przechodniów, wpadła na jakiegoś statecznego jegomościa, który spojrzał na nią śmiertelnie urażony i powiedział:

— Trochę uważniej, moja panienko!

Szła dalej. Nagle poczuła wzrok czyjś na sobie, spojrzała — pan Bhaer szedł obok niej.

— Panno Ludko, co pani robi podczas takiego deszczu?

— Musiałam kupić parę niezbędnych rzeczy.

— Nie ma pani parasola, czy mogę służyć swojem?

— Owszem, proszę.

Policzki Ludki pałały. Boże, co on pomyśli o mnie?

Wziął ją troskliwie pod ramię, a jej się zdawało, że świeci najpiękniejsze słońce.

— Myśleliśmy, że pan wyjechał — powiedziała szybko Ludka, czując, że patrzy wciąż na nią.

— I mogliście uwierzyć, że wyjechałem bez pożegnania tych, którzy byli tak sympatyczni dla mnie? — zapytał z takim wyrzutem, że zaraz też poprawiła się:

— Nie, ja nie wierzyłam. Wiedziałam, że był pan zajęty swoimi interesami. Ale brakował nam pan. Szczególnie matce i ojcu.

— A pani?

— Ja zawsze jestem rada, gdy pana widzę.

Wysilając się, aby głos jej brzmiał spokojnie, uczyniła go niechcący zupełnie chłodnym.

Zmroziło to profesora. Uśmiech znikł mu z twarzy i odrzekł poważnie:

— Dziękuję i przyjdę jeszcze raz przed wyjazdem.

— Wyjeżdża więc pan?

— Wszystko już tu załatwiłem.

— Z powodzeniem, mam nadzieję? — rzekła Ludka, a głębokie rozczarowanie malowało jej się na twarzy.

— Tak, została mi otwarta droga, na której mogę mieć chleb i pomoc dla moich wychowanków.

— Proszę mi opowiedzieć. Tak lubię wszystko wiedzieć, co się tyczy chłopców pana.

— To bardzo mile, z chęcią opowiem. Przyjaciele znaleźli mi miejsce w szkole. Będę dawał lekcje i będę mógł utrzymywać Franza i Emila. Powinienem być wdzięczny za to, nieprawdaż?

— Oczywiście! Jak wspaniale, że będzie mógł pan pracować, a ja często widywać pana i chłopców — zawołała Ludka, akcentując ostatnie słowo, jako wytłumaczenie za swą szczerość.

— Ależ my nie będziemy się widzieć często, bo miejsce to jest aż na zachodzie.

— Aż tak daleko!!!

Profesor umiał czytać w kilku językach, nie umiał jednak jeszcze czytać myśli kobiety. Pochlebiał sobie, że zna Ludkę dobrze i dlatego był zakłopotany, gdyż ciągłe zmiany w jej głosie, twarzy i całem obejściu, zaprzeczały jedne drugim. Gdy go spotkała, zdawała się być zdziwioną, choć nie mógł przez chwilę choćby przypuszczać, że spotkanie było niespodziewane dla niej. Gdy podał jej ramię, przyjęła ze spojrzeniem, które napełniło go radością, ale gdy spytał ją, czy jej brakował, dała mu taką mrożącą odpowiedź.

Usłyszawszy o jego powodzeniu, klasnęła w ręce z zadowolenia. Byliby chłopcy powodem tej radości? Później, słysząc o miejscu przeznaczenia rzekła: Aż tak daleko! z taką rozpaczą w głosie, że nowe nadzieje napełniły mu serce, lecz po chwili Ludka rzekła zimno, jakby zupełnie czem innem zaabsorbowana:

— Tu jest cel mej wędrówki, wejdzie pan zemną? Nie potrwa to długo.

„Czy nie moglibyśmy zakupić czegoś dla dzieci i urządzić wieczoru pożegnalnego — zapytał, stając przed wystawą z owocami i kwiatami.

— Co chce pan kupić? — zapytała, zdając się nie słyszeć drugiej części jego pytania.

— Czy jadają dzieci pomarańcze i figi? — zapytał pan Bhaer z ojcowską troską w głosie.

— Jadają, jak im się je da.

— Czy lubi pani orzechy?

— Jak wiewiórka.

Wypchał kieszenie paczkami, kupił jeszcze kilka funtów winogron, doniczkę niezabudek i słoik miodu, otworzył parasol i poszli dalej.

— Panno March, chciałbym panią o coś poprosić — zaczął profesor.

— Proszę — i serce Ludki zaczęło bić tak gwałtownie, że zlękła się, że on usłyszy.

— Zmuszony jestem powiedzieć to teraz, mimo deszczu, gdyż zostaje nam tak mało czasu.

— Proszę — i zakołowało jej się w głowie.

— Chciałbym... kupić małą sukienkę dla Tiny, a nie umiem sam tego załatwić. Czy nie zechciałaby pani poradzić mi w wyborze?

— Proszę — i Ludka uczuła chłód, jakby wstąpiła do lodowni.

— Może również i szal dla matki Tiny, jest taka biedna i chora — tak, tak, ciepły, gruby szal będzie jej przydatny, nieprawdaż?

— Zrobię to z przyjemnością, panie Bhaer.

On jest mi z każdą minutą droższy — dokończyła już w myśli.

— No, a teraz czy idziemy do domu,? — zapytał po wyjściu ze sklepu.

— Tak, już późno i jestem taka zmęczona.

Świat był szary, ponury. Deszcz lał bez przerwy. Po raz pierwszy odkryła, że nogi ma przemoknięte, że głowa ją pali, a serce pełne jest bólu.

Pan Bhaer odjeżdżał! Interesował się nią tylko, jak przyjaciółką, wszystko było omyłką! Straszne!

Pełna tak smutnych myśli nagle ruchem zrezygnowanym usiłowała zatrzymać omnibus, aby czemprędzej być w domu.

— To nie nasz — krzyknął profesor.

— Przepraszam, nie zauważyłam, możemy i pieszo, jestem przyzwyczajona do łażenia po błocie — odpowiedziała.

Pan Bhaer zauważył łzy na jej policzkach, choć odwróciła głowę.

Nagle zatrzymując się, zapytał:

— Serce najdroższe, czego płaczesz?

Teraz, gdyby była prawdziwą kobietą, Ludka znalazłaby wymówkę o bólu głowy lub wogóle twierdzić by próbowała, że nie płacze, lecz ona spojrzała mu prosto w oczy:

— Ponieważ wyjeżdżasz!

— Ach, Boże! Jak to dobrze! — zawołał profesor — Ludeczko, nie mogę ci dać nic poza miłością. Przyjechałem i czekałem, żeby się przekonać, że jestem czemś więcej dla ciebie, niż przyjacielem. Czy możesz znaleźć trochę miejsca w serduszku dla starego Fryca?

— Taak! — odrzekła i położyła mu obie ręce na ramieniu, pokazując, jak szczęśliwą byłaby iść przez życie tak, obok niego, nawet gdyby za ochronę miał służyć tylko ten stary parasol.

Oświadczyny były połączone teraz z trudnościami. Gdyby profesor nawet chciał, to nie mógł żadną miarą uklęknąć na zabłoconej ulicy, nie mógł również uścisnąć rąk Ludki, gdyż obie jego ręce obładowane były paczkami. Jeszcze mniej można było liczyć na głośne wynurzenia na środku ulicy, choć był bliskim tego. Jedynem więc, co mu pozostało, było spojrzeć na Ludkę i oczami wyrazić swe szczęście.

Wielka radość uduchowiła jego twarz, do tego stopnia, że kropelki deszczu, osiadłe na brodzie, zdawały się mienić wszystkiemi kolorami tęczy.

Tak przynajmniej zdawało się Ludce.

Wydał jej się piękny i młody, nie widziała jego przemoczonego ubrania i dziur na wszystkich dziesięciu palcach rękawiczek.

I on musiał bardzo kochać Ludkę, gdyż inaczej trudnoby było wyobrazić sobie jego szczęście. Ludka wyglądała bowiem o wiele gorzej, niż zwykle, w sukni w stanie opłakanym, w zniszczonym na niej kapeluszu i powykręcanych pantoflach.

Przechodnie brali ich prawdopodobnie za parę nieszkodliwych warjatów. Oni szli wolnym, spacerowym kroczkiem, nie zważając na deszcz, mgłę i błoto. Ale i nie zważali na ludzi, gdyż przeżywali taką godzinę rzadkiego szczęścia, kiedy to młodość staje się równą starości, piękność — brzydocie, bogactwo — biedzie, dając ludziom przedsmak niebiańskiej radości.

Profesor wyglądał, jakby zdobył królestwo Boże i niczego więcej życie mu ofiarować nie mogło. Ludka szła obok, czuła, że było to jej wyznaczone miejsce. Oczywiście należało przemówić pierwszej, gdyż jej wykrzyknik „Tak!“ powinien być wytłomaczony.

— Friedrich, dlaczego pan...

— Ach, Boże, nikt mnie tak nie nazywał, od czasu, jak Minna umarła! — przerwał profesor, patrząc jej w oczy z wdzięcznością.

— Ja zawsze nazywam tak pana w myśli, teraz zapomniałam się, nigdy nie będę już, o ile pan nie lubi tego.

— Lubi! Mój Boże! proszę, serce najdroższe, mów mi ty — prosił pan Bhaer i naprawdę zdawać by się mogło, że to przemawia młodziutki student, a nie poważny profesor.

— Doskonale, dlaczego nie powiedziałeś mi tego wcześniej?

— Będę teraz szczery. Już w Nowym Jorku chciałem ci wyznać wszystko, ale myślałem, że serce twe nie jest wolne, myślałem ciągle o tym twoim eleganckim przyjacielu. Powiedziałabyś mi “tak“?

— Nie wiem, nie myślę, byłam taka bezmyślna wtenczas.

— Och, w to nie wierzę, byłaś tylko jak śpiąca królewna, pogrążona we śnie.

— I przyszedł piękny rycerz i zbudził ją, — zaśmiała się.

— Pierwsza miłość, nie, tego nie mogę się spodziewać.

— A właśnie, że pierwsza, nigdy nie kochałam nikogo. Teodorkowi zdawała się coś, ale wkrótce przeszedł do porządku dziennego nad głupstwami, które mu się w głowie roiły.

— Pięknie! świetnie, jak ja cię będę kochał, moja ty pani profesorowa.

— Dlaczego tak długo nie zjawiłeś się — pytała, ciesząc się, że może mu zadawać tak intymne pytania i otrzymywać serdeczne i przyjemne odpowiedzi.

— To nie było takie łatwe, czy mogłem wymagać, nawet, byś rzucała dom rodzinny i szła za mną biedakiem.

— Właśnie jestem zadowolona, że jesteś biedny. Nie mogłabym znieść bogatego męża — odpowiedziała zdecydowanym głosem, a potem ciszej dodała — nie bój się biedy, ja znam ją dość długo, aby umieć z nią walczyć i pracować dla tych, których kocham i nie nazywaj się starym, nigdy o tem nie myślałam, kochałabym cię, gdybyś był siedemdziesięcioletnim starcem!

Profesor był tak wzruszony, że przydałaby mu się chustka do nosa. Niestety nie mógł jej z kieszeni wyciągnąć. Ludka jednak otarła mu łzy i rzekła śmiejąc się.

— Mój Boże, mówią żem emancypantką, a czyż specjalną misją kobiety nie jest ocieranie wam łez? Zobaczysz, jak ci będę pomagała w pracy, biorąc część obowiązków na siebie. I pamiętaj, że to jest mój warunek, od którego nie odstąpię — dodała rezolutnie.

— Zobaczymy. Czy będziesz jednak chciała tak długo czekać na mnie? Muszę wyjechać teraz sam i przedewszystkiem pomóc mym chłopcom, gdyż nawet dla ciebie, nie wolno mi złamać słowa, jakie dałem mej umierającej siostrze. Czy możesz mi to wybaczyć, czy będziesz cierpliwie czekała na mnie?

— Najdroższy! czekać będę z radością, rozłąkę osłodzi miłość ma ku tobie. Ja też tu będę pracowała, i Bóg pozwoli, że niedługo będziemy znowu razem i szczęśliwi.

— Szlachetna dziewczyna i cóż ci ja dać mogę za twą miłość, gorące serce? Te próżne ręce.

Ludka widocznie już nigdy nie miała oduczyć się swych kawałów i gdy stali tak przy samym domu i pan Bhaer wypowiedział sentencję o próżnych rękach, wsunęła mu swe ręce w jego dłonie, szepcząc czule:

— Już nie są próżne — i pocałowała swego Fryca, gdy tak stał pod mokrym parasolem.

To było bardzo ryzykowne, ale Ludka nie żałowała tego wcale, zrobiłaby jeszcze raz, gdyż nie zważała teraz na nic, myśląc wyłącznie o swem szczęściu.

Była to najważniejsza chwila w życiu jej i teraz szczęśliwi szli, wracając z ciemności i zimna do światła i ciepła.

Nie potrzebowali bawić się w żadne wyjaśnienia, wszyscy zrozumieli, że Ludka zadecydowała już o swoim losie.

KONIEC

Dalsze dzieje bohaterów tej powieści znajdzie czytelnik w „Małych Mężczyznach“.

PRZYRODNICZO-H

Biblioteka Gł. UPH Siedlce
nr inw.: KG - 393562
393562